Nr. 41 (1189). Warszawa, dnia 27 Września (10 Października) 1903 r. Rok XXIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

TREŚĆ: POLITYKA: Nowe środki. — Listy z Wiednia, p. zz. — Tydzień polityczny. — ODCINEK: Z życia Eskimów, p. Fridtjofa Nansena. — ŻYCIE SPOŁECZNE: I Brutus..., p. Go—ona. — Z nad Warty i Odry, p. Pośrednika — Listy z Francyi, p. dr. Józefa Zielińskiego. — FEJLETON: Pamiętnik — BADANIA NAUKOWE: Życie utajone, p. Kazimierza Kulwiecia. — LITERATURA I SZTUKA: Polacy w literaturze duńskiej, p. Józefę Klemensiewiczową. — Notatki literackie i artystyczne. — SPRAWY EKONOMICZNE: Przesilenie bawełniane, p. W. S. — Kronika. — Odpowiedzi Redakcyi. — Ogłoszenia.

POLITYKA.

NOWE ŚRODKI.

Zjazd w Mürzsteg od 30 września do dnia 3 października, poprzedzony wspaniałem przyjęciem w Schönbrunn, zaczyna już wydawać swe dyplomatyczne owoce. Słowa cesarza austryackiego: „Zespalająca nas, zupełna zgodność poglądów na wypadki półwyspu Bałkańskiego zapewni całkowicie powodzenie środkom, przedsiebranym w interesie pokoju europejskiego,“ miałyby wprawdzie większy ciężar gatunkowy, gdyby były powiedziane dla stwierdzenia faktów, które dopiero przepowiadają; w każdym jednak razie nie były powiedziane na wiatr i mogą już wylegitymować się ze swej powagi. Spostrzeżono niedostateczność dotychczasowych środków i przedsięwzięto nowe. Nie czekano, aż pociąg błyskawiczny z Wiednia i Pesztu zawiezie do Stambułu nowe objawy woli, ograniczającej samowolę Turcyi, ale je telegrafem do obu posłów z poleceniem bazzwłocznego przedstawienia Porcie przesłano. Stało się to 3 b. m.; nazajutrz już sułtan wiedział, że go czekają nowe, skuteczniejsze od dotychczasowych, środki nacisku.

Środki te dopiero go czekały, bo w telegramie jeszcze ich nie było. Jednobrzmiące to oświadczenie stwierdza z góry ścisłe trzymanie się umówionych w styczniu r. b., przyjętych w lutym reform dla Macedonii. Nie pożywiła się niemi wcale dotychczas rzeczywistość. Telegram na pierwszem miejscu czynników nieprzyjaznych stawia działalność komitetów macedońskich, odstręczającą ludność od uczestnictwa w zmianach na lepsze; drugie zostawia dla wysokiej Porty, dla jej organów, opieszałych, nierozumnych, niechętnych. Teraz ma być lepiej: oba rządy umówiły się o skuteczniejsze sposoby kontrolowania władz tureckich i dozoru nad reformami. Sposoby te obejmuje instrukcya, w tej chwili znajdująca się już w rękach obu posłów. W tej instrukcyi tkwi jądro umowy. Jest ona jeszcze tajemnicą urzędową; może być, i zapewne będzie, ogłoszoną. To, co z niej telegraf już posłom przyniósł, dotyczy tylko strony humanitarnej stosunku obu mocarstw do Turcyi: pomoc dla ludności, ułatwienie jej powrotu, odbudowanie wsi, świątyń i szkół zburzonych.

Zapewne muszą być w instrukcyi i środki powściągania okrucieństw tureckich, których ofiarą właśnie pada ludność brana w humanitarną opiekę; bez tych środków tamte przypomniałyby beczkę Danaid. Ale tu właśnie czyhają wilcze doły. Trudność kontrolowania władz cywilnych, przeprowadzających reformy, jest jeszcze zabawką wobec prawie niepodobieństwa rozciągnięcia kontroli nad wojskiem w boju i po boju, na rewizyach i rewiach policyjnych, podczas obław i przetrząsań, dokonywanych ze srogością i okrucieństwem. Nizama to jeszcze za kark schwycić i przy odpowiednim nacisku z góry na generałów i niższych oficerów na miejscu osadzić można; ale kto przytrzyma zbrodniczą rękę baszybuzuka lub albańskiego albo anatolijskiego redyfa? Jeżeli w zakresie, politycznego już, a nietylko humanitarnego, działania, oba mocarstwa chciały i chcą coś skutecznego uczynić, to nie będą się bawiły w jakichś komisarzy przy pojedynczych dowództwach wilajetów lub korpusów, a choćby nawet i pułków, ale musiały obmyślić inną jakąś formę, a raczej inną treść działania. Jeżeli tego dotychczas nie uczyniły, blizka już chwila zmusi je do obmyślenia środków rzeczywiście skutecznych.

I tutaj właśnie dopomina się praw swoich domniemanie, że prędzej lub później, a im prędzej tem lepiej, oba mocarstwa będą zniewolone stanąć pomiędzy sułtanem, jego armią i urzędnikami a ludnością przez nich gnębioną, aby sprawę uspokojenia, źle prowadzoną przez Portę, wziąć na siebie i swoimi własnymi środkami i siłami przeprowadzić. Telegram, rzecz prosta, stojąc na gruncie pozytywnym, przyznaje Porcie prawo tłumienia powstań. Przyznałby jej i prawo spełniania okrucieństw, gdyby nie była tak słabą, jak jest, i w tak wysokim stopniu i od tak dawna na zdobycz upatrzoną. Świat widział większe, ohydniejsze okrucieństwa: obecne tureckie oburzają, ale oburzenie potęguje się niecierpliwością i gniewem niezaspokojonego apetytu. Ze sprawy tureckiej wywiązuje się z każdą nową jej odmianą kwestya austryacko-rosyjska. Na złagodzenie ostrych jej krawędzi, na odwleczenie jej rozwiązania do szczęśliwszych czasów jest ten sam środek, który może skutecznie zapobiedz okrucieństwom tureckim: wyrwanie Macedonii z pod bezpośredniej opieki sułtana i oddanie jej pod opiekę wspólną Austryi i Rosyi, lub też Austryi samej. Chrześciański gubernator może być tylko na próbę, na okres doświadczeń, zawodów i lękliwej tymczasowości. Turcya musi utracić Macedonię — musi ustąpić z Europy: a ten wyrok nieodwołalny teraz już w wykonanie wchodzi. Tajone dotychczas punkta umowy między hr. Lamsdorffem a hr. Gołuchowskim wzmacniają jego klauzulę egzekucyjną.

List z Wiednia.

To, co się dzieje w państwie Habsburgów od kilku miesięcy, wyprowadza z równowagi każdego, komu zależy na zachowaniu teraźniejszego ustroju zasadniczego tego państwa, tak co do spraw wewnętrznych Przedlitawii, jak i stosunku jej do „krajów korony św. Szczepana“ — czyli dualizmu. Największą rozpaczą przejmuje czarno-żółtych patryotów, że palladyum nietykalne, armia wspólna, wyjęta, podług ich rozumowania, z pod władzy parlamentów, a oddana pod wyłączny zarząd monarchy, nie ostała się przed zuchwałością węgierskiej partyi niezawisłości. Szell, któremu korona nie pozwoliła robić ustępstw w kierunku zmadziaryzowania armii, upadł; Khuen, choć zrobił pewne ustępstwa, ale że były niewystarczające, więc po 6 tygodniach upadł, i upadł w błoto, co się słusznie należało temu zmadziaryzowanemu Niemcowi, katowi Chorwacyi w imię madziaryzmu. Mianowany powtórnie prezesem ministrów, powtórnie musiał podać się do dymisyi wobec niechęci całego parlamentu. Bo dziś nietylko opozycya, lecz cały parlament węgierski, który nie zrzekł się nigdy prawa stanowienia o armii, jak o wszystkich sprawach życia publicznego, a z parlamentem — cały naród, w wybornem zrozumieniu mogących mu grozić w przyszłości niebezpieczeństw, domagają się unarodowienia armii węgierskiej pod względem języka komendy, pochodzenia oficerów, oznak zewnętrznych itd. I pewnem jest, że ktokolwiek teraz podejmie się ciężaru rządzenia w Budapeszcie, będzie *musiał* prędzej czy później te żądania zaspokoić.

Z drugiej strony nie mniej, niż dualizm, trzeszczy wewnętrzny ustrój państwowy tej połowy monarchii, którą centraliści niemieccy pragnęliby nazywać Austryą, lecz która urzędowo posiada tylko nazwę „królestw i krajów, reprezentowanych w Radzie państwa,“ a geografia radzi sobie z nią za pomocą fikcyjnego terminu Przedlitawii. Rozpiera ją niezałatwiona kwestya narodowościowa— kwestya czeska w pierwszym rzędzie, jak powszechnie wiadomo. Starał się Körber odwracać od niej uwagę wszelkimi środkami: zapomocą kwestyj ekonomicznych zarówno jak przybieranych pozorów postępowości, modernizmu, kulturalności w rządzeniu, ostatnio—obrony interesów Austryi wobec Węgier itp. pięknych a obłudnych frazesów. Udawało mu się to przez trzy lata; z samymi panami posłami młodoczeskimi, skłonnymi do wszelkiej ugody, udawałoby się może i dłużej; lecz opinia publiczna w Czechach zmusiła posłów do postawienia ultimatum w sprawie języka urzędowego i uniwersytetu na Morawach — więc Korber, zagrożony z jednej strony obstrukcyą czeską, z drugiej — w razie, gdyby tej ustąpił — niemiecką, absolutnie nie wie, co robić. Prawdopodobnie, gdy nadejdzie czas zwołania parlamentu na prawidłową sesyę, będzie musiał ustąpić, tembardziej, że domagają się tej satysfakcyi Węgrzy za jego publiczne wtrącenie się do ich „wewnętrznej“ sprawy wojskowej. Kto go zastąpi? czy ten potrafi rządzić wśród tylu sprzeczności? Oto pytanie, daleko trudniejsze od zagadnienia węgierskiego.

Nie zamierzamy w niniejszym liście rozważać tych zagadnień wszechstronnie, lecz tylko przypatrzeć się bardzo ciekawemu zachowaniu się wobec nich tutejszej lewicy społecznej.

Walce opozycyi narodowo-węgierskiej z armią wspólną, tutejszy główny organ tego stronnictwa okazywał ciągle żywą sympatyę — co tem bardziej zasługuje na uwagę, że stał na tem stanowisku sam jeden: organy klerykalno-zachowawcze powtarzają na różne tony aforyzm, przypisywany arcyksięciu następcy tronu, „że „zuchwałe Węgry trzeba zdobyć ponownie,“ a liberalne — płaczą obłudnie nad Herostratową lekkomyślnością Węgrów. Zapewne, lewica społeczna powodowała się tym względem, że wobec niewolniczej uległości parlamentu wiedeńskiego parlament węgierski jest jedynym w całej monarchii czynnikiem, zdolnym obrzydzić wspólnemu ministeryum wojny dążenie do powiększenia armii, wymódz na niem reformę kodeksu wojskowego i odstraszać koła wojskowe od zbyt wielkich nadużyć: stąd jednak widzimy, jak walka o niezaspokojone dotychczas potrzeby narodowościowe może jednocześnie wychodzić korzyść demokracyi. Prócz tego tutejsza lewica społeczna z radością wita wszystko, co zmierza do zniszczenia ustroju dualistycznego z r. 1867, ponieważ ten ustrój pociąga za sobą wyzysk gospodarczy Przedlitawii na korzyść Zalitawii, okaleczenie parlamentaryzmu obydwóch połów monarchii na korzyść malowanych, zawsze rządowi powolnych delegacyj, wreszcie ponieważ miejsce dualizmu mógłby kiedyś zająć ustrój demokratyczno-federalistyczny, łączący na równych prawach wszystkie narodowości całego „państwa naddunajskiego.“ Na zajęcie takiego stanowiska przez stronnictwo, o którem mowa, wpłynął też przedewszystkiem wzgląd prostej sprawiedliwości: w niejednym artykule jego organu wyraźnie oświadczono, że Węgrzy mają nietylko prawo, ale i obowiązek dążyć do unarodowienia części armii, przypadającej na ich kraj; a silne wrażenie wywarł artykuł, nadesłany z kół wojskowych, którego autor, wbrew twierdzeniom ministeryum wojny, wykazywał, że wprowadzenie w armii języka i ducha nietylko węgierskiego, ale każdej z narodowości, na której terytoryum dane oddziały stoją i z której się rekrutują, może tylko powiększyć jego zapał i bitność podczas wojny, a podczas pokoju miałoby tylko tę „złą“ stronę, że uniemożliwiłoby przerzucanie oddziałów węgierskich do Galicyi, niemieckich do Czech, bośniackich do Wiednia itd., celem utrzymania ciągłej obcości między wojskiem — a ludem. Znowu więc mamy zupełną zbieżność potrzeb narodowości — i wymagań demokracyi!

Co się tyczy wewnętrznych stosunków Przedlitawii, to zarząd stronnictwa wraz z jego odłamem parlamentarnym (złożone z przedstawicieli wszystkich narodowości) wydał parę tygodni temu ciekawą odezwę, wzywającą do wznowienia energicznej walki o głosowanie powszechne i równe, o zniesienie zatem dotychczasowych feodalno-plutokratycznych kuryj. Odezwa wykazuje nietylko, jak dalece reforma ta jest potrzebna bezpośrednio dla ludu pracującego, ale również — pośrednio, dla poprawy stosunków w par-

---

FRIDTJOF NANSEN.

Z życia Eskimów.

Jedziemy z Eskimem na połów.

Na wiele godzin przed brzaskiem wychodzi on na wzgórze po za domem, ażeby rozpoznać, jaki się czas zapowiada na dzień następujący. Upewniwszy się co do tego, wraca do domu i wdziewa futro. Za dobrych, dawnych czasów tęgi łyk świeżej wody stanowił jego śniadanie. Dziś i on też już uległ cokolwiek europejskiemu rozpieszczeniu i wypija zazwyczaj kilka filiżanek mocnej kawy, ale nic nie je, gdyż utrzymuje, że tak lżej pracować i wygodniej siedzieć w kajaku; nie zabiera też z sobą żadnego zapasu żywności, tylko trochę tytoniu do żucia.

Przygotowawszy w kajaku, stojącym na brzegu, potrzebne do połowu sprzęty, wsuwa się w jego otwór, futro wodne przymocowywa do kółka czółna i puszcza się na morze. Z nim jednocześnie odpływa wielu innych mieszkańców domów okolicznych. Psów morskich będzie dziś obfitość, a miejsce połowu znajduje się na pełnem morzu, w pobliżu ławic, oddalonych o dwie mile.

Czas jest spokojny, fale idą wydłużonymi garbami do brzegów wysp, ponad któremi w cieśninach, gdzie płyną, zawisł lekki opar, nadając ptakom morskim, unoszącym się ponad wodą, wygląd dwa razy tak duży. Kajaki suną jeden obok drugiego, z cichym pluskiem w takt nurzają się wiosła; mężczyźni rozmawiają z ożywieniem, a tu i owdzie wybucha wesoły śmiech. To ten, to ów wypuści strzałę dla wprawy ramienia i oka; aż jednemu podleci zwierzyna pod cel, grot furknie w powietrzu, trafiony ptak gwałtownie załopocze skrzydłami, by dać nurka, lecz, nadziany na ostrze, spada; myśliwy wyjmuje zeń strzałę, chwyta zębami za dziób i jednym ruchem skręca mu szyję, poczem przymocowywa go na tyle kajaku. Wkrótce wypływają z cieśnin, pomiędzy wyspami i wydostają się na pełne morze.

Po upływie kilku godzin przybywają nakoniec na miejsce połowu, gdzie gęsto wystają ponad wodą łby psów morskich, i rozpraszają się w pogoni za zdobyczą.

Boas, najlepszy łowiec w swojej okolicy, zauważył już zdala olbrzymią fokę i skierował czółenko w tę stronę, lecz zwierzę dało nurka w głąb; musiał więc czekać, aż się ukaże.

I ot, cokolwiek dalej, na przedzie, wyjrzał ciemny, okrągły łeb ponad wodę. Pochyliwszy się głęboko nad kajakiem, zbliża się doń Boas lekko, cicho poruszając wiosłami. Pies morski nie przeczuwa niebezpieczeństwa, leży sobie spokojnie, łeb wystawił ponad fale i pozwala się im kołysać. Gdy wtem coś uderzyło jego uwagę: zobaczył odbicie wiosła i wielkiemi, okrągłemi oczami wpatrzył się we wroga. Ten opuścił wiosło i znieruchomiał, a tymczasem woda niosła cicho kajak dalej. Pies morski, nie odkrywszy nic szczególnego, powrócił do dawnego spokoju. Odrzucił w tył głowę, wytknął na powietrze nozdrza i kąpał się w porannem słońcu, w którego blasku lśniła się jego mokra skóra. A tymczasem kajak zbliżał się szybko. Jak tylko foka w jego stronę zwracała spojrzenie, Boas nieruchomiał, czekał, nie drgnąwszy, aż zwierz oczy w innym odwrócił kierunku i znowu płynął. Na odległość jednego rzutu przygotował harpun, opatrzył, czy lina leży w porządku, na swem miejscu; jeszcze raz uderzył wiosłem i był gotów. Zwierz tymczasem spokojnie dał nura. Nie był jednak przestraszony, więc lada chwila mógł gdzieś w pobliżu wypłynąć. Trzeba było czekać. A to zabierało dużo czasu, gdyż trudno było zgadnąć, jak długo foka pozostanie pod wodą. Eskimowie mają jednak zdumiewającą cierpliwość. Siedzi więc Boas, jak martwy, głowę tylko na wszystkie obraca strony; nakoniec spostrzega łeb, wystający ponad wodę. Ostrożnie, by nie obudzić czujności zwierza, zwraca swój kajak w jego stronę i płynie. Zobaczyła go jednak foka, chwilę wpatrzyła się w niego i znikła w głębi. Lecz Boas zna dobrze i zdawna zwyczaje psów morskich, więc pędem puszcza się w to miejsce, gdzie łeb zanurzył się w wodę. Po upływie paru sekund zaledwie zwierz ciekawie wyjrzał znowu z fal, na odległość jednego rzutu Boas chwycił za harpun, odchylił go i potężnem pchnięciem puścił z procy, rozwijając jednocześnie w powietrzu wirującą linę. Zwierz rzucił się gwałtow-

lamencie, ponieważ posłowie, wybierani przez ciasne koła ziemian lub kapitalistów, zupełnie są niezależni od opinii publicznej ogółu i za zadanie uważają sobie jedynie— wytargować od rządu jak najwięcej korzyści klasowych, czysto materyalnych, zupełnie się nie troszcząc o powagę i normalną czynność parlamentu. Prócz tego odezwa zawiera jeszcze ustęp, będący w bezpośrednim związku z kryzysem chwili obecnej, spowodowanym przez obstrukcyę *narodową* Czechów: „Państwo, które nie znajduje się w tem szczęśliwem położeniu, żeby było zbiorowiskiem jednego tylko ludu, państwo zamieszkane przez tyle ludów, różniących się między sobą językiem, kulturą historyczną, tradycyą, utrzymywane w całości tylko brutalnym przymusem, takie państwo potrzebuje *prawa wyborczego, które spaja*, żywioły odmienne jednoczy we wspólnotę siłą wyższą, ideą wielką... Przeciwpaństwowe dążenia tylko wtedy mogą być pokonane, *gdy powszechne i równe prawo wyborcze wytworzy poczucie jedności politycznej i państwowej*. W Austryi powszechne, równe i bezpośrednie prawo wyborcze jest *także pierwszą i najprawdziwszą koniecznością państwową*."

W całej odezwie treść tego jednego jedynego ustępu jest (trzeba to nareszcie raz wypowiedzieć) wielkiem złudzeniem, grubym błędem, co zaraz wykażemy. Ale właśnie ten jeden ustęp przejął zachwytem p. A. Warskiego, autora przeglądu politycznego w nr. 32 *Głosu*. Uważa on go za wykwit mądrości stanu i pisze: „Członkowie klubu lewicy są, ze się tak wyrazimy, mimowolnymi patryotami „austryackimi," mimowoli dążącymi do *organicznego wcielenia* do Austryi ludów, przedtem wcielonych drogą podboju lub małżeństw dynastycznych." A no, naturalnie! Gdzie można znaleźć argument na poparcie „organicznego wcielenia" ludów podbitych, tam u p. A. Warskiego ustaje wszelki krytycyzm!

Pan A. W. sądzi bardzo powierzchownie i bez głębszej znajomości stosunków, skoro ludziom, o których mowa, przypisuje podobny nastrój, podobne myśli. Gdyby spytał np. dr. Wiktora Adlera, czy dąży on, choćby „mimowoli," do owego „organicznego wcielenia" — już widzę, jakby ten przyjrzał mu się uważnie z za okularów swemi mądremi, zmęczonemi oczyma, skrzywił się mocno i odpowiedział: „Aber gehen Sie doch! Fällt mir gar nicht ein!" Stronnictwo, jak wiadomo, dąży do przekształcenia Austryi na wolny związek wolnych, terytoryalnie autonomicznych narodowości, demokratyczny aż do ostatnich konsekwencyj — co z ideałami „organicznego wcielenia" i wszelkiego centralizmu wcale pogodzić się nie daje.

A jednakowoż ustęp, cytowany przez p. W., istotnie znajduje się w odezwie, i z ustępu tego wynika, że autorowie jej jeden z poważnych argumentów za powszechnem prawem wyborczem i jeden z *pożądanych* tej reformy skutków—upatrują w jej działaniu spajającem Austryę, jednoczącem i paraliżującem odśrodkowe antypaństwowe dążności. Pogląd taki istotnie kołacze się jeszcze po głowach, choć powtarzam, jest nawskróś błędny. Trzeba jednak znać i rozumieć jego źródło, aby nie nadawać mu, jak to p. Warski robi, przesadnej wagi. Mężowie stanu austryaccy od dawna nie mogą sobie dać rady ze sprzecznemi żądaniami różnych stronnictw burżuazyjno-narodowych, obezwładniających po kolei maszynę parlamentarną. Publicyści omawianego stronnictwa, widząc to, a walcząc o powszechne prawo wyborcze, zaczęli mężom stanu przemawiać do rozumu: „Ale bo też sami sobie winniście, niedołęgi! Dlaczegóż dajecie w parlamencie przywilej kłótliwej, posad żądnej burżuazyi i wstecznym feodałom? Dopuśćcie lud roboczy. On dla tego lub owego żądania narodowościowego nie będzie paraliżował parlamentu, bo dla niego postęp ekonomiczny i kulturalny jest ważniejszy, a parlament — potrzebny do uchwalania reform." Tak mniej więcej przekonywano mężów stanu; i na tem przekonywaniu kończy się doniosłość i ważność powyższej idei; ale mężowie stanu nie dali się przekonać! Nietylko dlatego, że im w gruncie rzeczy wcale nie zależy na tem, żeby parlament był zdrów, silny i uchwalał reformy — ale z pewnością i dlatego, że wcale nie wierzyli i *nie mogli wierzyć zapewnieniom, jakoby warstwy ludowe miały słabiej upominać się o prawa swej narodowości, niż burżuazya*.

I jeśli nie wierzyli, to mieli świętą racyę! Wiara taka odpowiadałaby dawno przebrzmiałemu stanowi rzeczy. Za Józefa II, zapewne, można było marzyć o sparaliżowaniu „prowincyonalnych" patryotyzmów szlachty za pomocą narodowo nieuświadomionych, tylko o ulgi w pańszczyznie dbających mas: a i ta próba się nie udała. Później budzące się do życia nowe warstwy uchylały istotnie z widnokręgu swego kwestye narodowościowe, a to wskutek ogólnej sprzeczności i walki z warstwami kierującemi narodem. Dziś jeszcze w sferach, o których tu wciąż mówimy, niejeden boi się stawiania tych pytań, jako „waśniących, różniących" itd. Nic jednak nie pomoże: kwestye te wysuwają się z niepohamowaną siłą, stawiają je i stawiać będą najbliżej interesowani, a inni — słuchać ich już muszą, albo będą musieli. Dziś warstwy pracujące w Europie równie żywo — na swój sposób — interesują się losami i prawami swej narodowości, jak panujące; często żywiej. Wyobraźmy sobie, że kurye w Austryi zniesiono i że klub czeski w parlamencie składa się tylko z posłów, wybranych przez głosowanie powszechne: czy sądzicie, że mniej stanowczo upominałby się on o unarodowienie wszystkich urzędów i o drugi uniwersytet czeski? Każdy, kto zna stosunki, odpowie: raczej więcej! Nawet gdyby decydujący wpływ mieli posłowie z lewicy społecznej. Tyle tylko, że wówczas posłowie ci z kolegami Niemcami doszliby do porozumienia łatwiej, niż dzisiejsze kluby burżuazyjne: bo *ci* Niemcy zgodziliby się na zaspokojenie wszystkich słusznych żądań. Ale można być pewnym, że dążenia narodowe nietylko nie ustąpiłyby na drugi plan, lecz musiałyby natychmiast znaleźć zadośćuczynienie — jak znalazły je w łonie samego stronnictwa. Niech p. Warski przeczyta teoretyka kwestyi narodowościowej w tem stronnictwie, R. Springera: najpierw, pozna wtedy, jak kwestya ta w Austryi jest nietylko złożoną, lecz i pierwszorzędnie ważną, a następnie — zobaczy, jak ten, mocno sympatyzujący z centralizmem, pisarz dowodzi, że sama demokratyzacya form politycznych — kwestyi narodowościowej nie rozstrzygnie, że ją trzeba postawić i rozwiązać osobno, i to jedynie — przez ustrój federalistyczny.

---

nie, zgiął grzbiet, chcąc dać nura, lecz w tejże chwili grot utkwił w jego boku po drzewce. Miotając się i ogonem wściekle waląc, aż wodę pokryła piana, puścił się w głąb, ciągnąc linę za sobą. Boas chwycił procę między zęby i z błyskawiczną szybkością rzucił pęcherz-pływak po za siebie. Przez chwilę skakał on po powierzchni fal, aż wreszcie pogrążył się w nie także, aby znów wypłynąć. Boas całą szybkością wiosel ruszył ku niemu, po drodze podjął grot harpunowy, który był zwierz z siebie wytrząsnął i zatknął go ponownie na drzewce. Leżał gotowy do rzutu. Po upływie minuty foka wyskoczyła znów na powierzchnię. Wściekła, że ujść nie może, zwróciła się przeciw swemu prześladowcy, wpadła najpierw na pęcherz, rozszarpała go i szła na łódź. Boas stał gotów do uderzenia. Zwierz z rozwartą paszczą płynął, wygiąwszy grzbiet, tak szybko, że woda dokoła bałwaniła się i szumiała. Mylny cios musiałby teraz łowiec życiem przepłacić. Boas spokojnie podniósł lancę i silnem uderzeniem pogrążył ją w otwartej paszczy foki: aż koniec wyszedł po drugiej stronie karku. Wstrząsnął się zwierz, łeb mu opadł, lecz w jednej chwili podniósł się znowu ponad wodę. Z otwartej paszczy buchnął strumień krwi, wydarł się głęboki, dziki ryk, a bąble nad nozdrzami wydęły się do niesłychanej wielkości. Rzucał się, trząsł łbem gwałtownie, tak że tkwiący w nim grot dygotał i chwiał się na wszystkie strony, nie mógł go jednak złamać ani wyszarpnąć. Boas wówczas wbił mu drugą włócznię pod przednią pletwę, przeszywając serce i płuca; zwierz padł — walka była skończona.

Boas podpłynął do martwiejącego cielska, a ponieważ ruszało się jeszcze, pchnął je długim nożem, ażeby skrócić męczarnie. Poczem spokojnie wyciągnął obie włócznie, oczyścił je i na swojem miejscu położył, linkę holowniczą wydobył wraz z pęcherzem holowniczym, który wydął i do psa morskiego przymocował; ostrze harpu na wyciął z cielska i znowu na drzewce założył, linę do łowienia na krążek nawinął, a pływak rzucił do łodzi. Następnie odpowiednim rzemieniem przywiązał zwierzęciu przednie łapy do tułowia, a wreszcie liną umocował przy kajaku, ażeby je mógł ciągnąć.

Boas ma dzisiaj szczęście: niedługo potrzebował płynąć, ażeby spotkać drugiego psa morskiego. Szybko więc uwalnia się od zdobytego łupu, utrzymującego się na wodzie za pomocą pęcherza i rozpoczyna polowanie. Wkrótce zabił drugą sztukę, którą przywiązał do czółna i wraca do pierwszej. Oba zwierzęta przyczepia z dwu stron kajaka, pomimo wszakże ciężkiego obładowania upatruje nowej zdobyczy; jeśli ją dostrzeże, ściga znowu. W ten sposób zabija i przyciąga cztery, a nawet więcej psów morskich.

Dotąd pogoda była piękna, a morze gładkie. W ciągu jednak ostatnich godzin zaczęły się gromadzić na południowym skraju nieba ciemne, groźne wały obłoków. Słychać głuchy szum, nadchodzi burza, która rozpyla fale w szary dym. Co prędzej do lądu! Ci, którzy nie ciągną za sobą zwierzyny, mogą posuwać się szybko, pozostają jednak z innymi Burza już ich doścignęła. Chłoszcze ona wodę i rozrzuca pianę, wioślarze czują bliskość olbrzyma, który ich podnosi i ciska. Bałwany wydymają się jak wodne góry i przewalają przez siebie. Ląd jeszcze daleko, niepodobna nic dojrzeć przez rozpryśniętą wodę, a fale tak zalewają wioślarzów, że z grzbietów piany widać tylko głowy, ręce i kawałki wioseł. Morze piętrzy się coraz bardziej, niebo prawie znika, łowcy zatykają wiosła pod rzemień, pochylają się naprzód, poddając się falom. Chwilami znikają zupełnie. Powoli wynurza się jeden kajak, potem drugi, niestety, dnem wywrócony do góry. Najbliższy sąsiad spieszy mu na pomoc, ale morze znowu w nich uderza — każdy musi myśleć o sobie. Drugie czółno wywróciło się; człowiek jednak wyprostował się wraz z niem, podjechał do wywróconego, podał towarzyszowi pod wodą rękę i odwrócił go wraz z łodzią.

Położenie staje się coraz gorsze. Przywiązane do czółna zwierzęta biją o jego boki. Już łowcy chcą się pozbyć ciężaru, gdy wielki bałwan mija ich. Jeszcze raz spróbują.

Najwspanialszą w życiu takiego poławiacza jest ta chwila, kiedy on swój łup przyciąga do przystani i widzi na brzegu promienne radością twarze swoich domowników. Wyobrażał on je sobie jeszcze, będąc na morzu i cieszył się, jak dziecko. Nic też dziwnego, że tylko w ostateczności rozstaje się ze swoją zdobyczą.

Pan W. powołuje się na przykład Niemiec, spojonych silnie przez Bismarcka za pomocą głosowania powszechnego i zarzuca „publicystyce polskiej,“ że ona nie rozumie tej państwowej strony parlamentaryzmu! Doprawdy, to już szczyt bezkrytyczności. O ile nam wiadomo, publicyści polscy doskonale wiedzą, że to demokracya spoiła w nierozerwalne całości Francyę (za Rewolucyi), Niemcy i Włochy. Jeśli jednak tej analogii nie stosują do Austryi, to dlatego, że pamiętają o jednej prostej rzeczy, o której p. W. w zapale dla „organicznego wcielenia,“ jako o obojętnej widocznie, zapomniał: oto, że Niemcy — to jeden naród i jeden język od Badenii aż do Brandenburgii, a Austrya — to ośm do do dziesięciu narodowości, z których każda w swych najradykalniejszych właśnie i najbardziej nowożytnych żywiołach dąży już i coraz silniej dążyć będzie—bo *musi*—do pełni swego życia narodowego.

zz.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

N. Wremia donosi z Portu Arthura, że d. 23 z. m. komisya nadzwyczajna pod prezydencyą namiestnika Aleksiejewa, zaczęła radzić nad nową organizacyą krain Dalekiego Wschodu, przed dwoma laty zajętych. Myślą przewodnią ma być samodzielność okręgów, a przedmiotami prac: zupełne zabezpieczenie i uprawidłowienie zarządu kolei, określenie atrybucyj komisarzy wojennych i zarazem urzędników dyplomatycznych, opieka nad gornictwem, zaprowadzenie okręgu naukowego Dalekiego Wschodu, urządzenie imigracyi i emigracyi itd. — trwałe zatem porządki.

Japończycy na początku bież. mies. wysłali wyprawę z Karaksu i Dary na Koreę. Stanęli pod Fusanem. O wylądowaniu niema jeszcze wiadomości. Baron Rosen, poseł ces.-rosyjski w Japonii, odbył w końcu września umyślną naradę z adm. Aleksiejewem w P. Arthura nad propozycyami japońskiemi, od miesiąca już przeszło zajmującemi obie strony.

N. fr. Presse donosi, jakoby jeden z poważnych polityków węgierskich zapewniał ją, że stronnictwo liberalne nie poprze nigdy żądania komendy węgierskiej i wytrwa przy ugodzie deakowskiej. Za kandydatów na pierwszych ministrów uważają w Wiedniu Andrassego, Szella, nawet Wekerlego. Przesilenie d. 7 b. m. nie było jeszcze zażegnane. Sejm d. 3 b. m. burzliwie obradował. W koszarach rozdawano już broszury przeciwko dynastyi; żołnierze w Szegedynie odmawiają służby wojskowej: demonstrują przy pomniku Kossutha.

Francya blizką już jest porozumienia się z Europą o Marokko: otrzymuje *carte blanche* jako mistrzyni i strażniczka pokoju wewnętrznego w tym kraju. Będzie mogła, bo będzie musiała, wprowadzić wojsko, a, rzecz prosta, raz wprowadziwszy, nie zechce go już wyprowadzić. Algierska *Revue Nordafricaine* uważa sprawę francuskiej dzierżawy politycznej w Marokku za załatwioną ostatecznie.

Osservatore Romano z d. 3 b. m. ogłasza pierwszą encyklikę Piusa X. Mówi w niej, że kościół od kapłanów swoich wymaga ducha gorącego, a od bogaczów współczucia dla proletaryatu: kwadratura koła. Encyklika nie dotyka kwestyi władzy świeckiej.

Na Śląsku Górnym pogodzili się *Katolik* z *Górnoślązakiem*, p. Napieralski z p. Korfantym i ich statyści. Uznano władzę wspólną Komitetu prowincyonalnego. Wybrani wejdą do Koła.

W Bytomiu nowy akt sprawiedliwości pruskiej o te same zaburzenia w Hucie Laury, które w środku września były przedmiotem pierwszego procesu. Teraz znęcano się nad cięższej oskarżonymi. Było ich ośmiu: Gayny, Grajczek, Mrożek, Weitt, Burczyk, Kot, Karnus, Fabian. Wyrok z d. 29 z. m. skazał pierwszego z nich na 6, drugiego na 5 lat ciężkiego więzienia z pozbawieniem praw. Więzienie wymierzono na sześciu pozostałych na okres od 4—2 lat.

Proces wytoczony *Vorwärts* o obrazę majestatu, dopatrzoną w wiadomości, że cesarz zamierza wznieść sobie warowną rezydencyę na jednej z wysp pod Berlinem — odroczono z powodu powołania nowych świadków.

Sejm galicyjski po uchwaleniu przez radę państwa w Wiedniu dawniejszego zasobu rekrutów nanowo rozpoczął swe czynności. Arcybiskup-metropolita Szeptycki zajął stanowisko agitacyjne. Spór zaczęty o gimnazya rusińskie, i o nowe w Stanisławowie uśmierzono odesłaniem wniosków napowrót do komisyi szkolnej.

Teraz dopiero (d. 4 b. m.) udało się Balfourowi przebudować swój gabinet: Forster min. wojny, Brodrick — Indyj, Chamberlain syn — skarbu, Lyttleton — kolonij, Marray — Szkocya, Stanley — poczt, Devonshire, prezes rady tajnej wyszedł z rządu.

W Serbii nowy gabinet pod Gruiczem. Skupczyna zebrawszy się jeszcze w końcu września, dopiero d. 4 b. m. rozpoczęła swe czynności czekając na narodziny. Wzburzenie o oficerów-morderców nie ustaje. Oficerowie angielscy także się teraz po dłuższej drzemce ocknęli i wylewają swe oburzenie. Król zaniechał nominacyi Maszyna na ministra wojny. Skupczyna wybrała na prezesa swego Stojankiewicza.

Francya i Włochy poparły działania — Rosyi i Austryi jeszcze przed zjazdem; zapewne poprą i obecnie się rozpoczynające po ich pierwszym przynajmniej okresie. Turcya wciąż odbywa rewizye wojskowe w wilajetach macedońskich, oczywiście nie bez srogości i okrucieństwa. Zakaz używania baszybuzuków przeciwko powstańcom jest igraszką sułtańską; chcąc ich powściągnąć, trzeba ich zupełnie z Europy wyrzucić. Były nowe utarczki, ale pomniejsze. Dynamit nie schodzi z pola; powstańcy używają go w boju, wywołując srogość Turków, łatwo wyrozumieć się dającą.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

I Brutus...

Głupstwo może nieraz iść długo, ale prędzej czy później zastąpi mu drogę rozum i zmusi do odwrotu. Doczekał się już tego syonizm. Jeden z jego ojców duchowych, znany w naszem piśmiennictwie dr. A. Nossig, ogłosił świeżo „Bilanz des Zionismus“ (Bazylea), w którym zdjął mesyaniczną maskę z twarzy p. Hertzla i wykazał, że pod nią kryje się pożerający dobro współwyznawców egoizm, próżność i kłamstwo, a nadto, że syonizm wprowadzony został na manowce, na których schudnie, zmarnieje, zbłąka się i nie dojdzie do celu. Autor miał zamiar odczytać swój akt oskarżenia na kongresie bazylejskim, ale „znawcy nastroju“ odradzili mu. Wtedy wystąpił z nim na publicznem zebraniu członków wiecu, zaledwie wszakże wysłuchano początek, zerwała się taka burza, że prezes musiał rozwiązać zgromadzenie. W czemże leżał kamień obrazy?

„Główne, tradycyjne ziarno idei żydostwa— mówi p. Nossig — spoczywa w *prawie*, według którego i dzięki któremu naród żydowski ma żyć *wiecznie*; nadto w *obowiązku* głoszenia tej nauki wszystkim innym ludom ziemi.“ Żydzi powinni stworzyć „idealne społeczeństwo, które byłoby pouczającym i zachęcającym przykładem *dla całej ludzkości.*“ A więc „początkiem i ostatecznym celem świadomego syonizmu jest Tora (księgi Mojżeszowe). Tora — nie kraj, gdyż bez kraju żyliśmy, przeżyliśmy wszystkie narody i pomimo prześladowań wiecznie żyć będziemy; bez Tory zaś nie żylibyśmy i w najprzyjaźniejszych warunkach żyćbyśmy nie mogli... Mesyaniczny, proroczy syonizm był od wieków dumą i sztandarem narodu żydowskiego, *uznanym przez cały nieżydowski świat* tytułem jego chwały.“ A właśnie o tem zapomnieli przywódcy syonizmu — Hertzl, Nordau i spółka.

Zaiste trudno ich za to potępić. Takie samo bowiem mniemanie o posłannictwie swego ludu, jak p. Nossig, mają rzecznicy mnóstwa narodów i ludów i to — rzecz szczególna — stojących na najniższym poziomie kultury, a nawet dzikich. Chińczycy są głęboko przekonani, że biali niegodni zapleść im warkoczy, Eskimowie utrzymują, że Europejczycy pochodzą od psa i złej baby. Jest to więc wiara bardzo powszechna i z pierwotnymi okresami cywilizacyi ściśle związana. Jeżeli p. Nossig uważa ją za przywilej Tory, to się myli, a jeżeli chce ją w nas przelać i wmówić, że „cały świat nieżydowski“ uznaje w Żydach swych mistrzów i przewodników, to tylko dowodzi, że w jego umyśle zachował się doskonale stary przeżytek złudzenia, które kiedyś miało wagę prawdy, a dziś ma znaczenie dziecinnego przesądu. Nikt po za garstką marzycieli izraelskich nie bierze poważnie zapewnień, że Tora zawiera jakieś „prawo“ obowiązujące ludzkość, a nawet jej wyznawców, że Żydzi są „narodem wybranym“ i powołanym do stworzenia wzorów dla całego społeczeństwa. Są to pewniki, które nie powinny wychodzić po za ściany chederu i bóżnicy, a Hertzl i Nordau słusznie zrobili, nie wynosząc ich stamtąd na szerokie pole swej propagandy.

Ale tu też kończy się ich roztropność a naiwność p. Nossiga. Dalsze jego wywody są mocne. Wykazuje on dowodnie, że nowoczesny Mojżesz syonizmu, Hertzl, usunął od współpracy osoby dlań niewygodne a dla sprawy pożyteczne, że swoje porażki dyplomatyczne okrywa szumnymi i kłamliwymi frazesami, że pomysłem „tymczasowej kolonizacyi“ w Ugandzie zwichnął kierunek ruchu, że obietnica odkupu całej Palestyny jest łudzeniem prostaczków, gdyż na to ani z „szekelów“ zebrane fundusze nie starczą, ani rząd turecki się nie zgodzi, że dotąd nic jeszcze nie zrobiono, a już masę pieniędzy roztrwoniono. I jak marnotrawnie! „W sprawozdaniu z V kongresu — woła p. N. — czytamy: na agitacye i podróże wydano 92,188 fr., konto kultury — 840 fr. W r. 1889 wydatki na podróże i agitacye wynosiły 99,500 fr., w r. 1902 — 108,000! Jeżeli dla tej pozycyi przyjmiemy przeciętnie tylko 90,000 fr., to dotychczas wydatkowano na podróże przeszło 500,000 fr. Panowie urzędowcy, strasznie jeździliście!.. 500,000 fr. dotąd kosztował płatników szekela obłęd Hertzla. 500,000 fr. kosztował efekt teatralny, umożliwiający oświadczenie na kongresie, że sułtan przyjął Hertzla, że jest on przyjacielem Żydów i że — ani jednego Żyda nie wpuści do Palestyny.“

Jakąż reformę zaleca p. N.? Radzi on, ażeby porzucono myśl emigracyi do Ugandy, ażeby nabywano w Palestynie powoli co się da i ażeby zakładano osady wokoło niej. Tym sposobem będzie można powoli, ale pewno odzyskiwać kraj rodzinny i odrazu otworzyć upusty dla wychodźców, którzy obecnie żyją w nędzy i tęsknocie, którym przywódcy każą tylko „płacić i milczeć,“ którzy przy dzisiejszym waryackim systemie nie mogą marzyć o spełnieniu się ich nadziei nawet dla odległych potomków.

Projekt p. N. wydaje mi się rozumnym i uczciwym. O ile niepodobna sympatyzować z syonizmem, który chce zabijać swój klin w obce pnie, być niszczącym soliterem w organizmie obcego społeczeństwa, wyodrębniać się i umacniać z całą bezwzględ-

nością jako naród w narodzie— dopóki mu się podoba, a prawdopodobnie na zawsze, o tyle należy sympatyzować z syonizmem, który odrazu stwarza upływ dla pragnących odzyskać miejsce swej miłości i tęsknoty. Biedny i nieszczęśliwy lud, godzien w swej niedoli najszczerszego współczucia, zamiast wyczerpywać się w daremnych ofiarach i zadręczać niespełnionemi obietnicami, zamiast coraz bardziej utrudniać sobie życie walką z nienawistnem i nienawidzącem go otoczeniem, wysuwałby się z niego powoli i pozostawiał po sobie coraz mniej niechęci, a może coraz więcej żalu.

Skoro nawet Brutus wystąpił przeciw Cezarowi syonizmu, sądzimy, że ten ruch zmieni swą kolej. A ponieważ syonizm jest przedewszystkiem sprawą Żydów rosyjskich i polskich, więc oni powinni zastanowić się nad głosem Nossiga. Przecie to jest najczulszy ich brat i jeden z najpierwszych chorążych sztandaru z godłem Syonu.

Go—on.

Z nad Warty i Odry.

Nowa sztuczka p. Napieralskiego. — P. Korfanty a kompromis z centrum. — Położenie w Prusach Zachodnich. — Walka zwolenników i przeciwników *Gazety Grudziądzkiej*. — Z prasy. — 37 zwolenników p. R. Luxemburg. — Wyrok bytomski. — Zjazd hakatystów w Gliwicach.

Pisałem już w swoim czasie o założeniu przez księdza Skowrońskiego „Towarzystwa ludowego dla katolików na Śląsku." Zwróciłem też uwagę na osobliwy charakter tej nowej organizacyi, mającej na celu podkopanie wpływów i znaczenie polskiego Towarzystwa wyborczego i *Górnoślązaka*. Wykazałem wówczas, że prusko-patryotyczny charakter Towarzystwa ludowego oraz jego cecha wybitnie wyznaniowa pozwalają domyśleć się, iż powstało ono z inicyatywy *Katolika* i p. Napieralskiego.

Obecnie nie podlega już żadnej wątpliwości, że inicyatorowie Towarzystwa ludowego byli tylko powolnem narzędziem w ręku p. Napieralskiego, a samo Towarzystwo środkiem wydobycia się z tej przykrej sytuacyi, w jakiej znalazł się p. Napieralski wskutek wyniku ostatnich wyborów do parlamentu. Bardzo zręcznie przygotował on sobie drogę do odwrotu, na którą też obecnie wstąpił.

Oto w jednym z ostatnich numerów *Katolika* w ten sposób obwieszcza swym czytelnikom zmianę dotychczasowej polityki. Mówi on mianowicie, że do tej pory sprawami publicznemi ludu polskiego na Górnym Śląsku, a szczególnie wyborami kierowały w znacznej mierze gazety polskie, czyli redaktorowie polscy. Czynili to wrzekomo z konieczności, w braku widomej władzy politycznej. *Katolik* przyznaje jednak, że takie kierownictwo nie może być uznane za stan właściwy i w społeczeństwie pożądany. Przedstawia ono duże niebezpieczeństwo, zwłaszcza gdy między gazetami zapanuje niezgoda. Dopóki na Górnym Śląsku pomiędzy gazetami była jedność — to znaczy, dopóki na Górnym Śląsku p. Napieralski nie miał konkurentów i robił, co mu się podobało, „wszystka praca nad ludem odbywała się z dobrym skutkiem"—to jest ludek polski najspokojniej wybierał do sejmu i do parlamentu hakatystów niemieckich *ad majorem ecclesiae gloriam*, a p. Napieralski uchodził za wielkiego patryotę i działacza narodowego. Ale gdy zjawili się inni ludzie, którzy zależność ludu od centrum niemieckiego uznali za krzyczący anachronizm, a wszechwładztwo p. Napieralskiego za nonsens —„wszystko się wykrzywia, paczy, a sprawa publiczna ponosi szkodę." Stąd wniosek, że należy dążyć do tego, ażeby było towarzystwo, była władza, która sprawami kieruje, gazety zaś aby się stały jej pierwszymi i najlepszymi pomocnikami. Wysnuwając ten wniosek, *Katolik* udaje nagle skromniutkie niewiniątko i oświadcza, że „długie lata chodził około utworzenia takiego towarzystwa, ale mu się to nie udało." Dlaczego p. Napieralskiemu, posiadającemu olbrzymie wpływy, nie udało się to, co się udało kilku młodym ludziom od *Górnoślązaka*, trudno zrozumieć, musimy jednak wierzyć p. Napieralskiemu, że się starał o założenie towarzystwa... Tak samo musimy wierzyć mu na słowo, kiedy opowiada, jak to „mężowie doświadczeni" bez żadnego z jego strony wpływu zabrali się i założyli polskie (?—właściwie katolickie) towarzystwo ludowe, które w statucie swoim oświadczyło, że chce działać we wszystkich sprawach życia publicznego. „Chwała Bogu! — wykrzykuje p. Napieralski — mamy zatem teraz towarzystwo, które kierować będzie wszelkiemi sprawami ludu polskiego na Śląsku. Ucieszony tem p. Napieralski oświadcza, że porozumiał się z zarządem towarzystwa, program jego uznał za swój i już żadnych spraw publicznych inaczej załatwiać nie będzie, jak w porozumieniu i za uchwałą tegoż towarzystwa. Mało tego — p. Napieralski oznajmia, że wystąpił z komitetu wyborczego partyi centrowej dla powiatu Bytomskiego, „ażeby dać do poznania, że spraw wyborczych sam nie rozstrzyga, jak to było do tego czasu."

Trzeba przyznać, że krok p. Napieralskiego jest bardzo sprytny. Z jednej strony ani na jotę nie zmienił swych poglądów taktycznych, gdyż program Towarzystwa ludowego jest dotychczas programem *Katolika*, nawet w sprawie stosunku do centrum nie wychodzi po za żądanie kandydatów „z krwi i kości ludu," jakimi są centrowcy Szmula, Strzoda, Królik, a nawet Letocha; co się zaś tyczy wystąpienia p. Napieralskiego z komitetu wyborczego partyi centrowej dla powiatu Bytomskiego, to akt ten wcale nie oznacza zerwania z centrum jako partyą. Z drugiej strony schowaniem się za parawan Towarzystwa ludowego zaszachował *Górnoślązaka* i zrobił wielkie wrażenie na naiwnych.

Co prawda *Katolik* i p. Napieralski tak się zdyskredytowali w opinii publicznej swym serwilizmem względem centrum i deptaniem woli najbardziej świadomej części ludu górnośląskiego, że bronić go mogły tylko takie pisma, jak *Czas* krakowski lub *Kraj* petersburski. Ale trudno zaprzeczyć, że przez bardzo długi czas opinia publiczna przyzwyczaiła się uważać p. Napieralskiego za jedynego reprezentanta i kierownika ruchu polskiego na Górnym Śląsku. To też „rehabilitowanie się" za pomocą takich sprytnych sztuczek, jak wyżej opisana, nie będzie dla p. Napieralskiego zbyt trudnem — i to nietylko z powodu naiwności naszych kierowników opinii publicznej.

Rzecz w tem, że ruch, wywołany przez *Górnoślązaka* pod hasłem „precz z centrum!" pociągnął za sobą bardzo znaczną ilość żywiołów łatwowiernych, którym się zdawało, że dość krzyknąć „precz z centrum!", aby cały lud polski na Górnym Śląsku zerwał z centrowcami i poszedł za *Górnoślązakiem*. Kiedy ostatnie wybory wykazały, że nie jest to rzecz tak łatwa i że p. Napieralski wraz z centrowcami posiada bardzo jeszcze poważne wpływy, owe żywioły, które przystąpiły do *Górnoślązaka* w nadziei łatwego zwycięztwa, poczęły się chwiać. Tem się tłomaczy sympatya, z jaką od samego początku traktował zachody ks. Skowrońskiego około utworzenia Towarzystwa ludowego taki p. Siemianowski, redaktor *Głosu śląskiego*, a do niedawna jeden z redaktorów *Katolika*. Utworzenie Towarzystwa ludowego, a zwłaszcza przyłączenie się doń p. Napieralskiego będzie dla wszystkich tych żywiołów hasłem do odwrotu z pod sztandaru *Górnoślązaka*.

Nietakt przywódców centrowych, brutalnie odpychających wszelką myśl o jakichkolwiek ustępstwach, zmusza i p. Napieralskiego do kroków bardziej stanowczych, co znów utrudnia położenie *Górnoślązaka* i jego zwolenników ideowych. Wogóle stosunki na Górnym Śląsku komplikują się coraz bardziej i trudno powiedzieć, jak się ułożą nawet w najbliższej przyszłości.

W samym obozie *Górnoślązaka* nie wszystko też idzie normalnym biegiem. Obecnie coraz głośniej się mówi o kompromisie, jaki ma niby zawrzeć narodowo-demokratyczne Towarzystwo wyborcze. Oświadczenie p. Korfantego, zrobione w tym duchu korespondentowi *Kraju*, wywołało na Górnym Śląsku wielkie wrażenie w sferach, które poparły kandydata narodowców jedynie warunkowo, po złożeniu przez niego oświadczenia, że jest przeciwny podwyższeniu cła na środki spożywcze, pomnożeniu ciężarów wojskowych i flotowych, oraz wszelkim nowym podatkom pośrednim. Kompromis z centrowcami oznaczałby sprzeniewierzenie się tym zasadom, na które pisał się p. Korfanty, kiedy mu chodziło o głosy zwolenników *Gazety Robotniczej*. Obecnie ta gazeta przypomina p. Korfantemu jego obietnice i żąda wytłomaczenia się. Nie wiadomo, czy p. Korfanty zechce na to żądanie coś odpowiedzieć — do wyborów jeszcze pięć lat, a do tego czasu zwolennicy *Gazety* katowickiej nie są mu potrzebni. Zresztą zarysowująca się na widnokręgu przyjaźń z p. Napieralskim jest daleko pewniejszą bronią od poparcia wyborców p. Morawskiego. Nie napróżno przecież p. Korfanty jest wyznawcą „etyki" pp. Balickich i Dmowskich.

W Prusach Zachodnich nie ustaje walka pomiędzy zwolennikami ruchu ludowego a przedstawicielami tradycyjnej przewagi szlachecko-księżej. Osoba posła Kulerskiego odgrywa w tej walce ważną rolę. Centralny komitet wyborczy na Prusy Zachodnie i Warmię wystąpił ostro przeciwko niemu i oświadczył w odezwie do wyborców, że komitet, który się utworzył w okręgu tucholsko-chojnickim celem przeprowadzenia kandydatury p. Kulerskiego, stanął tem samem po za organizacyą wyborczą, a p. Kulerski przez przyjęcie mandatu wyłamał się z niej także. Stąd wniosek, że nie może być przyjęty do Koła polskiego.

To odmówienie przez świadome masy wybranemu posłowi wstępu do reprezentacyi parlamentarnej jeszcze bardziej rozbudza wśród ludu niechęć do dotychczasowych przewodników. To też stronnicy *Gazety Grudziądzkiej* energicznie popierają swego posła, niewątpliwie krzywdzonego przez kler i szlachtę. W odpowiedzi na odezwę centralnego komitetu wyborczego na Prusy Zachodnie i Warmię *Gaz. Grudziądzka* pisze: „Lud nasz chce, aby go nie uważano za tłum ciemny i bezmyślny, który nie wie, czego chce, a któryby można przekupić „piwem, wódką i kiełbasami," jak to głosiły pisma, zależne od sfer rządzących dzisiaj w społeczeństwie naszem. Lud nasz chce, aby szanowano tych przywódców, których sobie sam obiera i aby przestano ich szkalować, lżyć i z błotem mieszać, dlatego, że mają odmienne zdanie co do obrony naszych skarbów najświętszych od osób, które sprawują rządy. Lud nasz wie, że stanowi największą siłę w społeczeństwie i dlatego domaga się stosownego udziału przy kierowaniu sprawami naszego społeczeństwa." Takie postawienie kwestyi jest dla dotychczasowych przewódców politycznych w Prusach Zachodnich czemś niesłychanem, to też rzucają się oni na *Gaz. Grudziądzką* z obelgami i wymyśla-

niami najordynarniejszemi. Ta ostatnia nie pozostaje dłużną w odpowiedzi, mamy więc przed sobą widowisko wcale niebudujące. Klerykalny *Pielgrzym* pełpliński zarzucił *Gaz. Grudziądzkiej*, że jej redaktorowie to indywidua wykolejone, a jeden z nich cierpiał nawet na jakąś nieprzyjemną chorobę. W odpowiedzi na to *Gaz. Grudziądzka* napisała o redaktorze *Pielgrzyma*, że wsadza na głowę stary cylinder, który zwykle ze sobą wozi, spódnicę i śpiewa kuplety — takie, które pochodzą z pewnego „Varieté“ gdańskiego. Redaktorem *Pielgrzyma* jest ksiądz, przeto podobne odkrycie wywołuje zgorszenie. Ponieważ zbliżają się wybory do sejmu, a zwolennicy *Gaz. Grudziądzkiej* krzątają się żywo około przygotowania gruntu dla swych kandydatów, więc ta polemika ma widoki raczej spotęgowania się, niż zaniku.

Zwolennicy *Gaz. Grudziądzkiej* odbyli już dwa zjazdy — w Tucholi i w Grudziądzu, gdzie naradzali się nad sposobami zaszachowania swych przeciwników. Ponieważ w wielu miejscowościach posiadają większość, przeto nie będzie dla nich niepodobieństwem zdobycie większości wśród delegatów wyborczych. Że stanowisko kliki szlachecko-klerykalnej jest w Prusach Zachodnich mocno zagrożone, dowodzi tego między innemi i fakt, że *Pielgrzym* uznaje za niestosowne posłowanie księdza Neubauera i proponuje na jego miejsce kandydaturę adw. Palędzkiego z Gdańska. P. Palędzki jest redaktorem *Gaz. Gdańskiej*, obskurnego pisemka reakcyjnego, ale to samo, że nie jest ani księdzem, ani właścicielem większej posiadłości ziemskiej, czyni jego kandydaturę mniej nienawistną od kandydatur dotychczasowych. W dodatku, jako redaktor posiada pewne wpływy na szersze masy, choć nie takie, jak jego koledzy ludowcy—Kulerski i Brejski, którzy już są posłami.

Kiedy mowa o redaktorach, warto zaznaczyć powstanie całego szeregu nowych pism polskich w Prusach Zachodnich i w Poznańskiem. W Grudziądzu *Dziennik Grudziądzki*, w Bydgoszczy *Dziennik Bydgoski*, w Gostyniu rozpoczęła wychodzić *Gazeta Gostyńska*, tymczasem trzy razy tygodniowo, w Poznaniu wyszedł numer okazowy *Przemysłowca*, tygodnika dla polskiego rzemiosła, przemysłu i handlu, organ związku Tow. przemysłowych. W ciągu roku bieżącego przybyło prasie polskiej w polskich dzielnicach Prus co najmniej 10 organów. Świadczy to bądź co bądź o wzroście zapotrzebowania na gazety wśród mas ludowych, bo to one dostarczają nowym pismom abonentów i czytelników.

Prasie polskiej ubywa natomiast jeden organ — jeśli go zresztą wogóle za organ polski uważać można. Mówię o poznańskiej *Gazecie Ludowej* — polskim organie socyal-hakatyzmu, redagowanym przez osławioną Różę Luxemburg i Kasprzaka. Pismo to, założone dla zwalczenia *Gazety* katowickiej miało za zadanie, jak pisało jeszcze niedawno (w nr. 27) „usuwanie i stłumianie (*sic!*) wszelkich narodowo-polskich prądów z niezłomną, nieubłaganą energią,“ oraz wmawianie w lud polski „poczucia kulturalnej i historycznej (!) łączności z niemieckim ludem.“ Lud polski jednakże nie dał się wziąć na lep frazeologii i *Gazety Ludowej* czytać nie chciał. Pani Luxemburg przez długi stosunkowo czas udawało się wyłudzać z centralnej kasy berlińskiej hojne subsydya na utrzymywanie tego świstka. W końcu jednakże nadeszła katastrofa i sprytna trójka socyalistyczna — Gogowsky-Luxemburg-Kasprzak — została zdemaskowana. Poseł Ledebour na wiecu drezdeńskim złożył dokumentalne dowody, że cała robota p. Luxemburg jest „ein bodenloser Schwindel“ (bezdenne szachrajstwo) i że *Gazeta Ludowa* posiada aż... 37 (trzydziestu siedmiu) abonentów. Wobec tak niesłychanej kompromitacyi subsydyum zostanie *Gazecie Ludowej* odebrane i ten świstek zakończy wkrótce swe marne istnienie.

Wogóle losy socyal-hakatyzmu w Poznaniu (wpływy grupki p. Luxemburg po za obręb miasta Poznania nie rozszerzały się nigdy) zostały już rozstrzygnięte. P. Kasprzak musiał się usunąć od wszelkiej pracy publicznej, a p. Gogowsky usuwa się od 1 października. Niemiecki organ socyal-hakatystów *Posener Volkszeitung* przeistacza się na pismo, głównie przeznaczone dla Śląska i zmienia swój ton względem Polaków na bardziej przyzwoity, albowiem już i Niemcy mają dość p. Luxemburg i jej miotania błotem na wszystkie strony.

Tragiczne, choć łatwe do przewidzenia zakończenie procesu o rozruchach w Hucie Laury, wstrząsnęło całą opinią publiczną. Z 66 oskarżonych uwolniono tylko trzech. Wszystkich innych skazano na kary więzienia od trzech miesięcy do trzech lat. Siedmiu oskarżonych, pomiędzy nimi jeden z redaktorów *Górnoślązaka*, Wicik, otrzymało po 2 lata więzienia, trzech po 1½ roku, trzech po 15 miesięcy. Ojciec posła Korfantego otrzymał rok więzienia, brat posła Andrzej Korfanty — 9 miesięcy, 63-letni starzec Warzecha — 7 miesięcy, 12-letni chłopiec Chudek — 2 miesiące itd. Razem kary więzienne wynoszą 45 lat i 8 miesięcy więzienia, grzywny zaś pieniężne — 730 marek. Ze zwykłej burdy ulicznej, wywołanej przez księdza-renegata Świdra, władze pruskie zrobiły coś w rodzaju rokoszu, ażeby steroryzować ludność górnośląską, a sędziowie pruscy użyli wszelkich sposobów najnikczemniejszych, ażeby zapakować do więzienia Bogu ducha winnych ludzi. Kwestya tylko, czy te usiłowania coś pomogą germanizatorom, czy teroryzm sądu wzmocni w ludzie polskim przywiązanie do idei pruskiej.

W Gliwicach odbył się zjazd hakatystów górnośląskich, którzy ogromnie narzekali, że rząd nie chce dać im obłowić się, jak ich kamratom poznańskim i zachodniopruskim. Tamci mają komisyę kolonizacyjną, dodatki do pensyj itd., a oni nic a nic. Śląsk nie otrzymał dotychczas nawet żadnych specyalnych funduszów na poparcie „uciśnionej niemczyzny.“ Zjazd wysłał telegram do Bülowa, wzywając jego pomocy przeciwko „niebezpieczeństwu polskiemu,“ ale odpowiedź niezupełnie zadowoliła pp. hakatystów. Jeszcze mniej zadowoliła ich odpowiedź nowego prezydenta Górnego Śląska, hr. Zedlitza, który ograniczył się dość oziębłem podziękowaniem. Widocznie sferom rządowym przykrzy się już wstrętna żebranina tych „patryotów.“

Pośrednik.

Listy z Francyi.

Trzeci kongres stowarzyszeń nauczycieli. — Zjazd robotników rolnych w Béziers. — Kongres pracowników fryzyerskich w Orleanie. — Kongres metalowców w Paryżu.

Wporze wakacyjnej odbywają się liczne miejscowe zjazdy i kongresy zarówno ręcznych, jak i umysłowych pracowników. Tegoroczne niemal wszystkie okazały żywotność, energię i dążenia w kierunku postępowym. Największej zwrócił uwagę publiczną trzeci kongres stowarzyszeń nauczycielek i nauczycieli szkół elementarnych, znanych pod nazwą „Amicales d'instituteurs.“ Odbył on się w Marsylii przy udziale 1200 delegatów i delegatek, reprezentujących 115 stowarzyszeń upoważnionych. Obrady dotyczyły częścią interesów ciała nauczycielskiego, częścią ogólnych zadań wychowawczych. Rozpatrywano kwestye podniesienia płacy nauczycielskiej, zrównania w prawach nauczycielek z nauczycielami, utworzenia rad pedagogicznych, reformy wypracowań itp. Niemal wszyscy wyrazili się za tem, aby szkoła była przednią strażą armii demokratycznej, a nie jak kościół katolicki podporą interesów materyalnych i panowania jednej kasty. Podnoszono gorąco i zalecano szerzyć między dziatwą ideał pokoju powszechnego, a dla osiągnięcia tego celu postanowiono nie rozbudzać uwielbienia dla bohaterów wojennych, nie poruszać wyobraźni opisami zwycięztw odniesionych na polu bitwy, wykorzenić nienawiść plemienną i szowinizm narodowy, a natomiast zaszczepiać miłość dla wszystkich ludzi. Słusznie też krytykowano dotychczasowe szkolne stowarzyszenia wzajemnej pomocy, t. zw. „mutualités scolaires,“ opierające się dziś po części na dobroczynności osób prywatnych. Referenci w tym przedmiocie dowodzili, że dzieci nie powinny przyzwyczajać się do zbierania pieniędzy na użytek osobisty, a natomiast przyuczać się do prawdziwej solidarności, rozwijać uczucia braterstwa i altruizmu.

Inne kongresy — pracowników różnych gałęzi przemysłu cieszyły się daleko mniejszym rozgłosem, pomijano je często milczeniem naumyślnie, niemniej przecież są znamienne i świadczą o ogromnym rozwoju ruchu społecznego we Francyi. Na szczególniejszą uwagę zasługuje pierwszy zjazd delegatów 50 czysto robotniczych syndykatów rolnych, zawiązanych od niedawna w południowej Francyi. Dotychczas syndykaty takie były prawie zawsze mieszane, złożone z wielkich i małych posiadaczy, jako też robotników rolnych. Ilość związków tego rodzaju w całej Francyi wynosi około 2,500, a członków do nich należących — 800,000. Zadaniem ich jest ułatwić nabywanie narzędzi, nawozu, nasion itp., odpowiadają one więcej naszym spółkom rolniczym i nigdy nie mają na celu wyłącznej obrony wyrobników. Dopiero w ostatnich latach powstały czysto robotnicze syndykaty rolne na podobieństwo miejskich, połączyły się one nawet w dwa departamentalne związki (Pyrénées-Orientales i Hérault). Na zjeździe w Béziers założony został trzeci związek południowy, opracowano krótkie, ale wyraźne statuty, oraz podniesiono sprawę zwołania w jak najkrótszym czasie ogólnego kongresu przedstawicieli wszystkich robotniczych syndykatów rolnych całej Francyi dla stworzenia ogólnej federacyi na wzór innych gałęzi pracy. Rozprawiano również nad zasadniczymi punktami programu i taktyki, i uchwalono jednogłośnie t. zw. „action directe“ bez uciekania się do drogi parlamentarnej.

Takąż samą nieufność do deputowanych i senatorów, do złudnych praw Milleranda i Jaurèsa, takąż samą niechęć do parlamentaryzmu wyraźnie i dobitnie zaznaczyły i inne tegoroczne kongresy robotnicze: tkaczów w Saint-Etienne, gdzie było reprezentowanych aż 56 organizacyj, kapeluszników, fryzyerów, metalowców itd. Pouczającymi były świeże przykłady w Cette, Marsylii i Hennebont, gdzie pracujący otrzymali zadośćuczynienie swych dążeń dzięki tylko „action directe,“ bez najmniejszego udziału deputowanych i senatorów. Ciekawym nader faktem i wielce charakterystycznym jest, że w ciągu ostatniego roku przy wszystkich zatargach robotników z pracodawcami ani Jaurès, ani Guesde lub im podobni nie próbowali nawet ofiarowywać swych usług i pośrednictwa... a robotnikom wcale to na złe nie wyszło.

W ostatnich latach związki zawodowe od chwili zerwania z polityką, oraz wyzwolenia się z pod wpływu i kierownictwa różnych szefów stronnictw, zaczęły się energicznie rozwijać i stały się daleko bardziej radykalnymi. Nawet pracownicy z natury rzeczy najmniej uświadomieni

i najwięcej reakcyjni, jak służba domowa i restauracyjna, oraz fryzyerzy wstąpili na nową drogę. Ci ostatni dopiero w 1900 r. założyli federacyę z sześciu syndykatów, a dziś należy do niej już 26, obejmujących kilkanaście tysięcy pracowników. W początkach b. m. odbył się w Orleanie ogólny zjazd fryzyerów. Po wyczerpującej dyskusyi uchwalono: zniesienie mieszkania i żywienia się u pracodawców, zniesienie obowiązku czyszczenia lokalu, ograniczenie dnia roboczego do 11-tu godzin, zamiast 13 i 14 jak dotychczas, odpoczynek całodzienny raz na tydzień, zniesienie napiwków, ustalenie płacy *minimum*, a wreszcie ostateczne zniesienie kantorów pośredniczących do wynajmu pracowników. W sprawie tej urządzono nawet wielkie zebrania publiczne zarówno w Paryżu, jak i na prowincyi, a owocem tych starań było powzięte przez syndykaty zobowiązanie pracy albo też wypłacanie tytułem zapomogi 15 fr. tygodniowo. Obok wielu poruszonych kwestyj i uchwał nad sprawami chwili bieżącej, potrafili fryzyerzy nadać obradom szerszy zakres, oraz krytycznie rozpatrywać słynne reformy i projekta ustawodawcze byłego ministra Milleranda.

Najwięcej jednak żywotności objawił w tym roku XI kongres w Paryżu federacyjnego związku metalowców, do którego od maja r. b. przyłączyła się federacya robotników w miedzi. Ze wszystkich niemal środowisk przemysłu metalowego we Francyi przybyli delegaci w liczbie 90, jako przedstawiciele 150 organizacyj, istniejących po większej części od lat przeszło dziesięciu. Związek metalowców, składający się z 40,000 robotników, choć nie najstarszy we Francyi, zalicza się do najbardziej postępowych i czynnych, nie mogą z nimi iść w porównanie ani górnicy, ani drukarze, choć organizacye ich są o wiele dawniejsze. Już na wstępie w sprawozdaniu komisyi federacyjnej ostrzegają oni przed pięknymi frazesami i złudnemi obietnicami deputowanych, potępiają stanowczo instytucye świeżo utworzone lub zreorganizowane przez Milleranda, jak najwyższą Radę pracy, departamentalne rady pracy itp., oraz nawołują do rachowania wyłącznie na własne siły i energię.

Uczestnicy zjazdu okazali w rozprawach swych głęboką znajomość rzeczy, żelazną logikę i wielki zapał, a zarazem potrafili uniknąć sporów i waśni osobistych, co tak rzadko ma miejsce na zjazdach politycznych, jak tego mieliśmy ostatnimi czasy dowód na kongresie partyjnym w Dreznie. Z pomiędzy uchwał zapadłych zasługuje na uwagę regulamin dotyczący *viaticum*, tj. kasy zapomóg dla wędrujących robotników. Określono wyraźnie, że mają do niej prawo wyłącznie robotnicy zsyndykowani co najmniej od trzech miesięcy i opłacający regularnie składkę, przedewszystkiem tacy, którzy utracili pracę z przyczyn od nich niezależnych.

Co do zakładania kas pomocy na wypadek braku pracy t. zw. *Caisses de chômage*, to uchwalono pozostawić w tym względzie zupełną autonomię oddzielnym syndykatom, które nieraz zmuszone są do zakładania ich, w przeciwnym bowiem razie niektórzy robotnicy gotowi byliby opuścić syndykat i zapisać się do burżuazyjnych towarzystw wzajemnej pomocy. Nie mniej przecież kasy te jako paliatywy powinny funkcyonować całkiem niezależnie to jest ze składek nadzwyczajnych, a nie regularnych opłat członków syndykatu. Ciekawą nader była dyskusya odnośnie do towarzystw spółdzielczych — wytwórczych i spożywczych. Kongres wypowiedział się stanowczo wrogo w kwestyi zakładania przez syndykaty kooperatyw wytwórczych, gdyż te zazwyczaj sprowadzają robotników z właściwej im drogi. Co zaś do kooperatyw spożywczych, to uważając je jako środek natychmiastowego polepszenia bytu i wyrabiający uczucie solidarności, gorąco je zaleca z tem jednak zastrzeżeniem, ażeby dywidendy były obracane wyłącznie na cele ogólne.

Dr. Józef Zieliński.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Wniosek praktyczny.

Jeżeli streszczony w poprzednim numerze *Prawdy* pogląd Behringa na powstawanie suchot jest uzasadniony — co wydaje się dość pewnem — to w takim razie urządzenia, tak omijane dotychczas przez kontrolę i tak w przekonaniu ogółu wykluczające wszelką obawę, jak mleczarnie i sklepy z mlekiem, powinny stać się przedmiotem ścisłej baczności ze strony producentów i organów dozoru sanitarnego. Jest faktem, że gruźlica grasuje śród bydła szeroko; jest faktem, że ona dotyka zwłaszcza to, które jest trzymane ciągle w oborze; jest faktem, że większe gospodarstwa, zaopatrujące głównie Warszawę w mleko, nie wypędzają krów na pastwiska; jest faktem, że nigdzie, a przynajmniej w niewielu miejscach sprawdzono ich zdrowie tuberkuliną — czyli jest faktem, że mleko, wpływające do Warszawy ogromną rzeką, niesie z sobą gruźlicę. Naturalnie w niższym stopniu ulegają podobnemu losowi inne miasta i wsie. Czy wobec tego niebezpieczeństwa można ociągać się ze wzmocnieniem, a raczej zaprowadzeniem środków zapobiegawczych? Za naszych czasów społeczeństwa oświecone dały znakomity przykład obowiązkowego stosowania w praktyce świeżych prawd naukowych. Lister jeszcze żyje — mimo to żaden chirurg nie śmiałby dokonać dziś operacyi bez użycia antiseptyki, a przed paru laty jednego z takich upartych konserwatystów skazano w Niemczech na więzienie. Czy rozpościeranie się gruźlicy przez mleko nie nakazuje równego pośpiechu zapobiegawczego? Rozumiemy, że jest to przedsiewzięcie olbrzymie i trudne, wszakże co prędzej podjąć je należy. Leki, sanatorya i wyjazdy do miejsc kuracyjnych są słabiuchnem przeciwdziałaniem klęsce, a jeżeli nawet ją łagodzą, to tylko w szczupłym zakresie ludzi zamożnych. Biedne masy piją mleko zakażone i bez ratunku giną w gruźlicy.

Tania porada prawna.

Biur porady prawnej było u nas zaledwie parę, więc zniesienie ich wyrządziło szkodę nietyle ze względu na ich dość szczupłą jeszcze klientelę, ile ze względu na samą zasadę społeczną, którą zrodziły istotne potrzeby i która byłaby niewątpliwie rozwinęła się szeroko. Lud wiejski i miejski, chudziacy rozmaitego gatunku od adwokatów stronią i z ich drogiej porady korzystać nie mogą. Rzucają się więc te biedne i nieświadome muchy na łup nikczemnych pająków, znachorów prawnych — pokątnych doradców, którzy jak szarańcza otaczają u nas każdy sąd i każdą swoją ofiarę doprowadzają do wielkich strat, jeśli nie do zupełnej ruiny. Jest to fakt zbyt widoczny, ażeby go można było usunąć jakąkolwiek sofistyką. To też po zamknięciu „biur“ (spółek obrończych) obmyślono projekt wskrzeszenia ich pod inną postacią i poddano go rozpoznaniu adwokatów warszawskich, którzy, według *Gązety Sądowej*, ogromną większością oświadczyli się za stworzeniem instytucyi porad bezpłatnych. Niewątpliwie może ona oddać pewne usługi, ale w obrębie bardzo skromnym, jak każda filantropia. „Darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby.“ W wypadkach tego rodzaju zawsze grozi nietrwałość i niedbałość pomocy — ogień poświęcenia rozpala się w niewielkiej mierze i gaśnie szybko. Słusznie też mówi *Gazeta Handlowa*, że „w życiu naszem potrzebna jest raczej pomoc (prawna) tania, niż bezpłatna, a w najlepszym razie jedna i druga.“

Pamięci Dygasińskiego.

Czy ten człowiek w owej epoce, kiedy chodził nocą po ulicach Pragi czeskiej, szukając na nich centa i porzuconego kawałka cygara — lub w innej, kiedy nie mógł się utrzymać z maleńką księgarenką w Krakowie, kiedy ksiądz Golian wpadał do niej i wymyślał za wystawienie w oknie dzieł Darwina, czy ten człowiek, który doszedłszy do 30 lat wieku, nie przekonał jeszcze żadnej redakcyi, że ma jakikolwiek talent, mógł się spodziewać, że za życia będzie uznany za znakomitego pisarza, a po śmierci nazwany „jedynym,“ „niezastąpionym,“ „nieporównanym“? A przecież to się stało i dobrze, że się stało, chociaż obecnie — jak zwykle u nas — przesada skoczyła na przeciwległy kraniec. Dygasiński artystą w ścisłem znaczeniu nigdy nie był i niepotrzebnie ten tytuł wybrano głównie dla wyrażenia jego wartości i uczczenia zasług. Jego bowiem talent miał za dużą domieszkę pierwiastku rozumowo-dydaktycznego. Ale był umysłem szerokiego widnokręgu, był sercem bardzo wrażliwem na te smutki, bóle i wzruszenia, które rodzą się na dole społeczeństwa i jeszcze niżej pod nim. Stąd jego częste nawroty do życia ludu i zwierząt, stąd ciągłe nurkowania w głębiach nieoświeconych przez słońce i nieznanych lub zapomnianych przez wierzchnie fale morza. Rdzeniem jego twórczości powieściopisarskiej jest szlachetna miłość i współczucie dla wszelkich istot maluczkich, słabych, bezbronnych i poniewieranych. Nie była też jedynie wyrazem przyjacielskich uczuć entuzyastyczna mowa, którą p. Sygietyński wypowiedział przy nagrobku, postawionym ze składek na mogile dobrze zasłużonego i szczerze żałowanego. Dygasiński godzien jest i widomego znaku czci i serdecznej pamięci.

Alkoholizm i koleje.

Co znaczy „miecz w ręku szalonego,“ dowodzi pomiędzy innemi zachowanie się rozbestwionego żołdactwa w rodzaju Hüssenera; co znaczy kolej w rękach nietrzeźwej służby kolejowej, dowodzą te liczne katastrofy, które trzeba koniecznie położyć na karb alkoholizmu wśród służby kolejowej, która taki sam użytek czyni z kolei, co szalony z miecza.

Niebezpieczeństwo, grożące podróżnym z tej jednej przyczyny, musi być dosyć znaczne, skoro lekarze kolejowi na zjeździe w Monastyrze wzięli tę sprawę pod rozwagę i uchwalili szereg postulatów, które przedstawiciel kolei rządowych przyrzekł w działalności swej uwzględnić.

Wnioski lekarzy kolejowych tak są doniosłe, że zasługują na przytoczenie w całej rozciągłości. Opiewają one w sposób następujący: 1) podczas pełnienia czynności służbowych agenci, mający związek z ruchem pociągów (służba parowozowa, stacyjna i konduktorska) winni powstrzymać się bezwzględnie od użycia napojów wyskokowych i w tej mierze być poddani najściślejszemu nadzorowi; 2) należy wśród służby rzeczonej rozprzestrzeniać przystępne wiadomości o małym pożytku alkoholu i o wielkich szkodach, jakie wywiera jego użycie; 3) należy popierać wśród niej tworzenie związków trzeźwości; 4) zarządy

kolejowe winny obmyślać środki, zapewniające służbie kolejowej wygodę, zachowanie zdrowia, możność posilania się podczas czynności służbowej: w tym celu należy urządzać wzorowe pomieszczenia odpoczynkowe i noclegowe na stacyach węzłowych, przebywanie zaś służby kolejowej w bufetach i restauracyach na dworcach kolejowych winno być bezwzględnie zakazane.

Wszystkie te wnioski mają bardzo doniosłe znaczenie, lecz najważniejszym jest niewątpliwie ostatni, ponieważ ze złem najskuteczniej walczy się nie dawaniem zbawiennych przepisów lub ogłaszaniem zakazów, a nawet nakładaniem kar, lecz postawieniem ludzi w takich warunkach, aby popełnianie wykroczeń nie było ani potrzebne, ani nawet ponętne. Dzisiaj nie można się dziwić, że przeciążona pracą i wszelkich wygód życiowych pozbawiona służba kolejowa szuka podtrzymania wyczerpanych sił w alkoholu, który na razie istotnie przynosi ulgę i znużenie chwilowo usuwa.

Kwestya węglowa.

Pomimo istnienia kwestyi węglowej w naszem mieście już rok trzeci, o pomyślnem jej rozwiązaniu z korzyścią dla najbiedniejszej ludności i mowy być nie może. Komitet obywatelski, choć ma dobre chęci, zakroił swoją akcyę na tak niewielkie rozmiary, że o zaspokojeniu potrzeb naszych w tym kierunku nawet przy łagodnej zimie marzyć wprost nie można.

Komitet zapewnił sobie dostawę dwudziestu do trzydziestu wagonów dziennie, co wynosi zaledwie tyle, aby dostarczyć składnikom po jednym wagonie węgla tygodniowo, to znaczy tyle, ile potrzebują koniecznie przy najmniejszej konsumcyi. A co mają począć w razie mrozów, kiedy zapotrzebowanie wzrasta kilkakrotnie? Muszą oczywiście nabywać towar od hurtowników i płacić zań, a więc i żądać znacznie wyższych cen od tych, jakie komitet obywatelski wyznaczy. W takim razie nic podobna wprost wyobrazić sobie kontroli nad drobnymi składnikami i sposobu zniewalania ich do rzetelnego prowadzenia interesu; chcąc być sumienni, musieliby chyba osobno trzymać węgle komitetowe, a osobno od hurtowników nabyte. Gdyby nawet to było możliwe ze względów technicznych, składnicy nie zgodziliby się na to, ponieważ mieliby więcej z tego powodu kłopotu, zamieszania i przykrości, niż zysku.

Prócz tego ponieważ przy takim systemie o nadużycia nietrudno, przeto pod pokrywką komitetu wyzysk biednej ludności Warszawy wcaleby się nie zmniejszył, lecz odbywałby się w zupełnie nowych i zaiste oryginalnych warunkach.

Dotychczasowy system więc nie odniesie żadnego skutku nawet w zastosowaniu do najbiedniejszych, a tem bardziej nie sprawi ulgi tym, którzy nie zechcą odbierać biedakom jedynej sposobności nabycia taniego opału pomimo, że sami nie mają ochoty płacić za węgiel sum bajońskich i pozwalać się żywcem łupić ze skóry klice spekulantów.

Dla tych pozostaje chyba inicyatywa prywatna i wzięcie sprawy we własne dłonie, aby nietylko uwolnić się od obmierzłego wyzysku, lecz całemu ogółowi przynieść korzyść przez unormowanie cen tak niezbędnego produktu, jakim jest węgiel.

Jedynem sposobem jest zrzeszenie spożywców i do tego nam uciec się należy.

BADANIA NAUKOWE.

Życie utajone.

—•—

Istotną cechą, wyróżniającą życie od martwoty, jest, jak wiemy, przemiana materyi. Ta przemiana, odbywająca się za sprawą skomplikowanych zjawisk chemicznych, jakeśmy widzieli (patrz artykuł „Warunki niezbędne do życia," nr. 27 *Prawdy*) ujęta jest w dość ciasne ramy warunków zewnętrznych. Brak jednego lub kilku powstrzymuje normalny bieg przemiany energii — powstrzymuje życie. Zależnie od okoliczności może ono w takim razie zostać zupełnie przerwane, zupełnie zgaszone, albo też tylko osłabione, przytłumione. W pierwszym wypadku następuje *śmierć*, z której już żadnym sposobem wrócić organizmu do życia nie zdołamy; w drugim — mamy do czynienia z *życiem utajonem*, albo *śmiercią pozorną*, z której organizm powraca do normalnego życia po usunięciu niesprzyjających warunków. Do takich zaliczamy: brak pożywienia lub wody, zupełna nieobecność lub niewystarczająca ilość tlenu, zbyt wysoka lub zbyt nizka temperatura, zbyt wielkie lub zbyt małe ciśnienie, obecność szkodliwych dla organizmów ciał płynnych lub lotnych.

Organizmy martwe, nie wykazując wcale przemiany energi, nic zewnątrz czynnie nie przyjmują i nic z siebie natomiast nie wydzielają — nie odżywiają się i nie oddychają. Zdawałoby się więc, że łatwo odróżnić organizm martwy od żywego. W rzeczy samej jednak tak nie jest. Jak to na poniżej przytoczonych przykładach zobaczymy, organizmy, broniąc się od braku pożywienia, a — szczególniej — od braku wody, wpadają w stan czasowego uśpienia, pozornej martwoty. W tym stanie przemiana energii odbywa się tak wolno, tak nieznacznie, że nawet przy pomocy bardzo subtelnych pomiarów trudno wyśledzić produkty tej przemiany. Słusznie więc stanowi temu dano nazwę *vita minima*, gdyż w rzeczywistości trudno go nieraz odróżnić od śmierci. Zresztą doświadczenia nowszych czasów dowiodły niezbicie, że w niektórych wypadkach organizmy niewątpliwie żyjące nic nie przyjmują (na drodze odżywiania i oddychania) i nic nie wydzielają. Przypuszczano przedtem mianowicie, że nasiona roślin, zdolne do kiełkowania, pochłaniają minimalne ilości tlenu i wydzielają pewne quantum kwasu węglanego. Tymczasem doświadczenia W. Kochsa (Kann die Continuität des Lebensvorgänge zeitweilig völlig unterbrochen werden? *Biolog Centralbl.*, Bd. X, 1890) z nasionami, trzymanemi w zamkniętych rurkach szklanych bez powietrza w przeciągu kilku miesięcy, dowiodły, że przypuszczenia te były mylne.

Stąd wynika, że z objawów zewnętrznych nie można w niektórych razach odróżnić organizmu martwego od istoty, trwającej w życiu utajonem.

Na czem polega w szczegółach życie utajone, i jaka jest jego użyteczność dla organizmu i dla rozpowszechnienia gatunku — zobaczymy z następujących przykładów.

Przedewszystkiem t. zw. *anabioza* jest zjawiskiem nader pospolitem wśród organizmów jednokomórkowych.

Zewnętrzne objawy życia tych istot drobnowidzowych w warunkach niesprzyjających np. przy wysychaniu środowiska ustają zupełnie: zwierzę wciąga w siebie rzęsy, wici i nibynóżki, za pomocą których zwykle się porusza, na powierzchni swego ciała wydziela trwałą błonkę, torebkę, czyli t. zw. *cystę*, i pod przykryciem takiej nowoutworzonej „skórki" pozostawać może przez bardzo długi czas, przez kilka lub kilkanaście nawet lat w stanie pozornej śmierci. Taka cysta składa się zwykle z kilku współśrodkowo ułożonych warstw twardych ciał organicznych—chityny lub błonnika, z domieszką niekiedy wapna lub krzemionki. W tym stanie *otorbienia* pierwotniaki wyglądają jak zwyczajne ziarenka piasku, porywane przez wiatr, przerzucane razem z kurzem z miejsca na miejsce dopóty, dopóki nie znajdą się w warunkach, niezbędnych do czynnego życia — w wodzie lub przynajmniej w miejscu wilgotnem. Wtedy torebka pęka, i więzień wychodzi na zewnątrz, by z nową energią pędzić przerwane na czas jakiś życie. Podczas incystacyi, czyli otorbienia czynność fizyologiczna organizmu jednokomórkowego nie ustaje zupełnie, lecz tylko niezmiernie maleje. Pęcherzyki np. pulsujące, które w żwawo poruszającym się wymoczku łatwo rzucają się w oczy obserwatora swą ruchliwością, pod przykryciem torebki zewnętrznej pulsują również — lecz bardzo powoli. Te pęcherzyki, czyli wakuole, odgrywające w jednokomórkowym organizmie rolę po części wydzielniczą, poczęści zaś oddechową i teraz wydzielają z plazmy płyn z różnymi produktami rozkładu i z kwasem węglowym do wolnej przestrzeni pomiędzy torebką a plazmą komórki.

Niektóre pierwotniaki podlegają otorbieniu nawet i wobec wszystkich warunków sprzyjających życiu, a to w tym mianowicie czasie, kiedy ma się odbyć akt rozmnażania. Komórka wolno żyjąca, która na drodze prostego podziału, lub po odbytej kopulacyi ma uledz podziałowi na dwie lub większą ilość komórek pochodnych, przerywa swe zwykłe objawy życia czynnego, poruszanie się i odżywianie, usuwa się jak gdyby od swych „powszednich czynności" i w ukryciu dokonywa wielkiego aktu zachowania gatunku. Z pękającej po pewnym czasie torebki zamiast komórki macierzystej wychodzą komórki potomne.

To zjawisko jest niezmiernie dla gatunku ważne, gdyż zapewnia organizmowi większe względnie bezpieczeństwo, podczas dokonywania niezmiernie dla życia ważnej sprawy odradzania się.

Tą samą zasadą użyteczności dla gatunku, ideą zapewnienia mu bezpieczeństwa da się wytłomaczyć obecność różnych błon ochronnych i skorup, przykrywających jaja zwierzęce, a także nasiona oraz zarodniki roślinne. Jak wiadomo, jaja tych zwierząt, które pierwsze fazy swego rozwoju odbywają po za ciałem matczynem, np. ptaków, większej części gadów, owadów, pająków, robaków, uzbrojone są w bardzo nieraz mocne, trwałe skorupy, które chronią skutecznie rozwijający się wewnątrz zarodek od wszelkich czynników zewnętrznych, jako to: od wysychania, zbyt wysokiej lub zbyt nizkiej temperatury, uszkodzeń mechanicznych itp. A warunki istnienia odosobnionej od organizmu dorosłego (matczynego) komórki (lub całego takich komórek zbiorowiska), jaką jest złożone przez samicę jajko, są nadzwyczaj niesprzyjające, powiem nawet — groźne.

Jaja zwierzęce zaopatrzone są zwykle w wielką ilość nader pożywnych ciał odżywczych, przeznaczonych dla przyszłego zarodka; stąd pochodzi ta pogoń różnych zwierząt i człowieka za jajami; i gdyby nie te skorupy i zewnętrzne błony ochronne—utrzymanie się ptaków lub owadów na drodze rozmnażania za pomocą jaj byłoby wprost niemożliwem. Pod mocnem przykryciem ochronnem, z pojedynczej komórki powstający, organizm młody odbywa niewidzialny z zewnątrz proces swego rozwoju; dopiero po osiągnięciu pewnej siły odpornej młode zwierzę przebija trwałe ściany swej

kolebki i niezależnie lub pod opieką rodzicielską zaczyna żyć jawnie.

Nadmienić tu należy o tych niezmiernie „dowcipnych“ przystosowaniach i urządzeniach, jakie możemy obserwować w budowie i barwie błon zewnętrznych jaj i nasion różnych organizmów — wszystkie one mają jedno na celu: bezpieczeństwo i pomyślny rozwój pozostającego w życiu utajonem zarodka. Szczególniej niezmierną rozmaitość urządzeń tego rodzaju podziwiać musimy wśród nasion roślinnych. Wiadomo od dawna, że ziarna zbożowe w ciągu wielu lat przechowują w stanie suchym swą zdolność do kiełkowania. Przypuszczano nawet, że te nasiona mogą przechować swe życie w stanie utajonym przez czas nieograniczony. Opisywano wypadki, kiedy ziarna pszenicy, znalezione w grobach piramid egipskich, wydobyte na świat po upływie całych tysiącoleci, wyrastały i dawały plon normalny.

Obecnie jednak, po dokonaniu nowych prób z podobnie staremi nasionami, te wypadki podano w wątpliwość, gdyż ziarna, pochodzące z piramid a współczesne mumiom, pozostają w stanie zwęglenia i zanurzone do wody rozpadają się na szlamowatą, martwą masę.

Z innych znów nowszych obserwacyj wynika niezbicie, że nasiona niektórych roślin, przechowane w stanie suchym, nie tracą zdolności kiełkowania przez sto, a nawet przez dwieście lat.

Przypuszczano więc, że życie ukryte przez taki długi przeciąg czasu pod błonami ochronnemi i związana z niem przemiana energii trwa w nasionach bez przerwy. Zaprzeczają temu jednak nowsze badania niektórych uczonych. Cytowany np. powyżej Kochs pozostawiał nasiona roślin w próżni (pozbawionej powietrza) w przeciągu kilku miesięcy, a jednak analiza spektralna, wykrywająca minimalne ilości gazów, wykazała zupełną nieobecność kwasu węglanego, zjawiającego się zwykle tam, gdzie zachodzi życiowa przemiana materyi.

Dziś więc przyjąć musimy, że życie komórek, zawartych w nasionach, pozostaje w całkowitem zawieszeniu. W klimacie chłodnym i umiarkowanym niektóre organizmy wodne, jak gąbki i mszywioły, zamierają na zimę całkowicie, zabezpieczając w jesieni tylko drobne cząstki swego ciała od zupełnej zagłady za pomocą t. zw. pączków (gemmulae) i statoblastów. Są to drobne kupki komórek, otoczone z zewnątrz szczególnemi skorupkami, bardzo misternej nieraz budowy; te skorupki chronią skutecznie zawarte wewnątrz komórki od zbyt nizkiej temperatury i od uszkodzeń mechanicznych przez całą zimę aż do wiosny, kiedy rozwinąć się z nich mają nowe, młode organizmy. Pączki więc gąbek i statoblasty mszywiołów (jedne i drugie pospolite są w naszych wodach słodkich), jako „dzieworodne jaja zimowe“ przechowują w stanie ukrytym zagrożone przez chłody życie tych organizmów w ten sam sposób, jak skorupy i błony jaj i nasion.

Wreszcie jeszcze Leenweuhoek (w roku 1719) zrobił niezmiernie ważne spostrzeżenie, że wśród kurzu rynien deszczowych istnieją na dachach drobne zwierzątka (wielokomórkowe), które mogą zupełnie wyschnąć i nie utracić mimo to zdolności do powrotu do życia, skoro ich zwilży woda deszczowa. Od czasu tego odkrycia, dokonanego przez Leeuwenhoek'a, zjawisko to zostało dokładnie zbadanem przez wielu obserwatorów. Dziś każdy może sprawdzić tę dawną obserwacyę z początków XVIII stulecia. Wystarcza wziąć ze starego, poporośniętego mchem dachu parę kłaczków ziemi z próchnicą i zwilżyć je czystą wodą deszczową, aby po upływie kilku godzin zauważyć już tam przy pomocy mikroskopu drobne istotki, poruszające się pomiędzy cząstkami błota. Po większej części są to przedstawiciele gromady wrotków (Ratatoria) o ciele, mającem kształt lunety wysuwalnej, z narządem ruchu na przednim końcu w postaci koła drobnych rzęs (stąd nazwa: wrotki). Obok nich spotkać tu można zawsze tak zwane niesporczaki (Tardigrada), drobne istoty workowate, zbliżone budową i kształtem do kleszczy o czterech parach nóżek krótkich, z pazurkami. Dopóki zwierzątka te pozostają w wodzie, wykazują wszystkie objawy czynnego życia, jak i wszelkie inne zwierzęta. Jeżeli zaś wyjmiemy je z wody i poddamy stopniowemu wysuszaniu, to zauważymy, że ich ruchy stają się coraz wolniejsze, aż wreszcie zanikają zupełnie. Ciało następnie zaczyna stopniowo się kurczyć, skóra fałdować i marszczyć, aż w końcu istoty te stają się zupełnie podobnemi do ziarn piasku. W tym stanie utajonego życia mogą wrotki i niesporczaki pozostawać bez zmiany przez całe lata i razem z otorbionemi wymoczkami, bakteryami itp. wśród kurzu na skrzydłach wiatru odbywają odległe podróże.

(D. n.).

Kazimierz Kulwieć.

LITERATURA I SZTUKA.

Polacy w literaturze duńskiej.

Między wybitnemi właściwościami naszego charakteru wymienił Jerzy Brandes wrażliwość na sąd obcych. Powszechnie przyjęto jego wyrażenie się za wytknięcie wady; wątpić jednak należy, aby taki znawca natury ludzkiej uważał za złe ciekawość, mającą nawet poniekąd znaczenie pedagogiczne. O ile bowiem zdanie blizkich zbywamy obojętnie, podejrzywając ich o przesadę, sąd obcych skłania nas do wejrzenia w siebie; uważamy go za prawdziwy, bo bezstronny.

Jest to więc zupełnie naturalne, iż, badając obce literatury, notujemy skrzętnie każdy utwór, traktujący wyłącznie lub chociażby tylko przeważnie nasze stosunki, aby przynajmniej choć w ten sposób spojrzeć na nie krytycznie.

W Danii od drugiej połowy minionego wieku do ostaniej chwili ukazały się cztery tego rodzaju utwory. Są to: Carstena Haucha *En polsk Familie* (w polskim przekł. Tajemnica pewnej rodziny polskiej), Jerzego Brandesa *Polen* (w tym roku wyszło nowe powiększone wydanie), Agnieszki Henningsen *Polens Dötre* (Córy Polski) i Fryderyka Poulsena zbiorek zatytułowany *Fra Latinerkvarteret* (Z łacińskiego kwartału).

Jakkolwiek przyznać trzeba, że każdy z powyższych autorów znał kraj i ludzi, których charakteryzował, nie ulega jednak wątpliwości, że Hauch znał ich najlepiej i najgłębiej wniknął w wewnętrzne życie tych warstw, które przedstawił, tj. szlachty i ludu. Powieść jego trzymana jest w stylu naszego Kraszewskiego, mniej więcej mu współczesnego.

Główną uwagę zwrócił Hauch na prace przygotowawcze i odmalowanie ówczesnego tła społeczno-obyczajowego. Z niesłychaną u cudzoziemca przenikliwością zaobserwował on charakterystyczne cechy naszego ludu z dolin i gór. Naturalny dowcip i humor tego ostatniego bardzo dobrze ilustruje gadka, zaimprowizowana przez młodego górala, a zmierzająca do wykluczenia nieproszonego gościa z pośród grona, obchodzącego dożynki. Autor dał piękny opis tańców góralskich, zwłaszcza imponującego dzikością i zręcznością tańca z ciupagami i wiernie pochwycił wierzenia i baśni, krążące wśród ludu o skarbach zamkniętych w grotach i jaskiniach tatrzańskich.

Dobrze też jest oddaną wypływająca ze ze zmiany stosunków różnica pojęć między starszem a młodem pokoleniem. Starszyzna szanuje odwieczne prawo gościnności i uznaje je za święte, młodsi wolą je podeptać, niż wśród wesołej, swobodnej zabawy znosić niebezpiecznego natręta.

Stosunek pana do włościan przedstawił autor w trzech formach typowych: starosta Litowski jest despotą, który traktuje poddanych jako bydło bezrozumne i gwałtem narzuca im reformy, mające na celu zwiększenie ich dobrobytu. Czernim, szwagier starosty, jest zwolennikiem stosunku patryarchalnego; poddani czczą go i kochają, jak prawdziwego ojca, ufni, że u niego znajdą zawsze radę i pomoc. Laryński dobrze się obchodzi ze swą „młodszą bracią,“ ale na zgromadzeniu szlachty wobec wniosku zniesienia pańszczyzny, nie może powściągnąć swego oburzenia na myśl tak zuchwałą.

Duchowieństwu wyznaczył Hauch stanowisko bardzo podniosłe w życiu społeczeństwa polskiego.

W charakterystyce postaci razi nieco stara szkoła kreślenia typów nie zaś ludzi, lecz brak ten równoważy wielka owych typów rozmaitość. Litowski, ojciec rodziny jest tak samo despotyczny względem dzieci, jak względem swych poddanych i służby. Wymaga bezwzględnego posłuszeństwa od dojrzałych już synów, wybiera im sam zarówno karyerę, jak żony. Żaden z nich nie odziedziczył ani wad, ani przymiotów ojca. Starszy, lekkomyślny, rozrzutny, dobrego serca, lecz słabej woli człowiek ginie marnie wskutek występnej miłości do przyrodniej siostry. (Przypuszczać należy, iż Hauchowi znane było podanie o Annie Oświecimównie). Młodszy, opuszcza kraj potajemnie. Przez ten charakter zamierzał Hauch wprowadzić do powieści postać nowoczesną, trawioną wątpliwościami, żyjącą w walce duchowej między obojętnością na sprawy kraju, spowodowaną dłuższym pobytem za granicą a miłością ojczyzny. Nie potrafił jednak autor nadać życia swemu bohaterowi.

Postaci kobiece, wprowadzone do tej powieści, stały się w Skandynawii synonimem Polki, zwłaszcza młodziutka bohaterka, najszczęśliwsza, gdy znajduje się na polu walki, dumna, śmiała Leontyna, nieznająca innego uczucia prócz przywiązania do kraju. Obok niej, żyjąca na ziemi, choć nie dla świata Aleksandra usycha z nieodwzajemnianej miłości do męża. W niej chciał autor dać uzupełnienie typu kobiety polskiej i wyposażył ją w prawdziwie niewieścią, miękką tkliwość i pobożność niemal ascetyczną. Obie gotowe do największych ofiar dla ogółu, różnią się całkowicie w pojmowaniu miłości ziemskiej. Aleksandra kocha Kazimierza pokornie, przebacza mu największe względem niej grzechy, jeśli w chwili kaprysu raczy się do niej zwrócić. Leontyna nie umiałaby przebaczać, i nie mogłaby znaleźć się w podobnem położeniu.

Kiedy Jerzy Brandes zwiedzał Królestwo Polskie, znał już tę powieść i nieobce mu zapewne były osobiste zapatrywania jej autora a jego profesora i przyjaciela na nas. *Polska* to szereg od ręki skreślonych, z werwą i życiem opisanych przygód z krótkich wycieczek do rozmaitych części kraju. Nie można ich traktować, jak poważną rozprawę. Bezpretensyonalny tytuł „Wrażenia“ świadczy, że krzywdą byłoby dla autora szukać w książce głębokich studyów i według tego ją oceniać. Są to skrzące się dowcipem, niekiedy uderzające trafnością uwagi i spostrzeże-

nia o ludziach i ziemi, której przeszłość historyczną znał i cenił wysoko.

Haucha raził u nas nizki stan gospodarstwa rolnego, które to zaniedbanie tłomaczył położeniem politycznem, Brandes nie mógł się oswoić z wielu formalnościami naszych stosunków.

Sądy jego o naszym charakterze narodowym dadzą się sprowadzić do kilku uwag. Na ogół ceni on nasze kobiety wyżej od mężczyzn. Nie wdając się w rozpoznanie słuszności tego zapatrywania, łatwo zrozumieć dlaczego takie a nie inne odniósł wrażenie. Nasze kobiety łatwiejsze do zawiązywania stosunków towarzyskich, a przytem, o ile nie wchodzi w grę erotyzm, posiadają dużo instynktu, który ostrzega je, kiedy się trzeba mieć na ostrożności. Wśród mężczyzn zaś coraz bardziej zanika typ serdecznego, wylanego Polaka, u którego „co w sercu, to na języku.“ Trzeba dłuższej zażyłości, aby dla cudzoziemca otwarły się serca i usta. Dlatego to Brandes poznał (rozumiem przez ten wyraz coś więcej, niż zwykłe towarzyskie zetknięcie się a więc: sposób czucia i myślenia, pogląd na świat swój i obcy, słowem to wewnętrzne „ja,“ które się nie przed każdym odsłania) znacznie więcej kobiet, niż mężczyzn. Powtóre w przyjęciach ci brali udział, którzy docisnąć się mogli i chcieli, nie ci, którzy mieli coś do powiedzenia. Gdyby autor Polski zamieszkał był wśród nas, jako zwykły śmiertelnik, niepoprzedzony sławą europejską, przy niezaprzeczonej swej bystrości byłby w krótkim czasie wyrobił sobie o nas należyte pojęcie. W każdym razie nie można nie uznać jego wielkiej dla nas życzliwości, sympatyi a niekiedy i trafnego sądu, zwłaszcza co do literatury naszej, którą mógł znać jedynie z przekładów.

Powieść Agnieszki Henningsen „Córy Polski“ omawialiśmy na tem miejscu natychmiast po jej ukazaniu się w r. 1901. Jak wiadomo zajmuje się ona tylko stosunkami erotycznymi świata literacko-artystycznego, które równie dobrze możnaby przenieść gdzieindziej. Ani bohaterowie, ani środowisko, w którem oni żyją, ni ogólne tło nie posiada charakteru polskiego.

Pedagog z zawodu, Fryderyk Paulsen bawił lat kilka w domu hr. Potockiego, jako nauczyciel; w ciągłem zetknięciu się z pewną warstwą ludzi miał sposobność przyjrzeć im się. Zna on i młodą Warszawę, lecz na tym gruncie nie czuł się dość silnym, więc polem pierwszej swojej rozprawki uczynił Paryż, a mianowicie jego dzielnicę łacińską, zamieszkiwaną przeważnie przez studentów zagranicznych. Nowelka, nadająca tytuł zbiorkowi, wykazuje wybitne różnice charakterów przedstawicieli czterech narodowości: Niemca, Duńczyka, Włocha i Polaka. Obrazek sceniczny p. t. *Prinsessen* (Księżniczka), zaczerpnięty jest z najświeższych czasów warszawskich.

Przedstawicielem Polski jest w nowelce młody artysta-malarz, Sokołowski; przy tej sposobności autor wypowiada swoje zdanie o nowoczesnej sztuce polskie, jak swojego czasu wypowiedział je Brandes o literaturze, proponując Sienkiewiczowi porzucenie historyi a zwrócenie się do świata współczesnego. Sokołowski należy zdaniem autora do tworzącej się dopiero, czysto narodowej szkoły malarskiej, bardziej narodowej w swych krajobrazach, niż Matejko i jego współcześni w płótnach historycznych. Sztuka prawdziwie narodowa zajmuje się tem, co widzi, krajem i ziemią z jej rozległemi, piaszczystemi równinami i lasami szpilkowymi...“

Pierwotnie był on uczniem szkoły historycznej, w której „gorzała purpura na tle chmur czarnych, w której namiętności walczyły z oczyma martwemi i rękami zaciskającemi konwulsyjnie rękojeść miecza lub drzewce włóczni. Takie to obrazy — pełne powiewających chorągwi i dzikich okrzyków Polacy przenoszą jeszcze i dziś nad inne...“

Ale później doszedł do przekonania, że „siła naszej sztuki tkwi w pięknie i wdzięku, w uczuciu i prawdzie.“

Co do temperamentu zestawia Paulsen Polaka z Włochem: taż sama u obu wrażliwość muzykalna, ta sama zmienność humoru, to samo pragnienie przewagi, objawiające się nawet w drobiazgach, jak tu w grze w szachy, kiedy żaden nie chce się poddać.

Różnice narodowościowe występują najsilniej w pojmowaniu miłości. Polak dał tak piękny, poetyczny, pełen życia i prawdy obraz swego pierwszego uczucia, że wszystkich mimowoli opanował szczególny jakiś nastrój przeżywania wspomnień pierwszej miłości. Czar wiosny owionął przeżytych cyganów.

Obok pewnej fanfaronady, chełpliwości i westchnień za dobrobytem, który dałby możność wyłącznej pracy nad rozwojem swojego talentu, wyposażył Paulsen owego Polaka w wielki zapał dla sztuki i odczucie jej, dał mu zamiłowanie wolności i swobody, koniecznej w życiu artysty.

Kobietom polskim przyznaje autor piękność i wdzięk, lecz uważa je za złe żony i gospodynie, za zaniedbane pod względem umysłowym, psute złą, płytką literaturą francuską.

Na obrazek dramatyczny, zawarty w tymże zbiorku składają się cztery sceny. Bohaterką jest młode dziewczę polskie, pełne współczucia dla nieszczęść i cierpień ludzkich, nad wiek poważne i rozbudzone. W rodzie jej mężczyźni pełnili swój obowiązek z zupełnem zaparciem się siebie, ona też żyje tylko wśród tych wspomnień. Tą jednoaktówką Poulsen dowiódł, że posiada nerw dramatyczny. Jest to człowiek młody (urodzony w r. 1876), chociaż na polu literackiem nie nowicyusz. Prócz rzeczy mniejszych poważne miejsce w literaturze wyrobiły mu powieści: *Mors Dreng* (Mamin synek) i *Race* (Rasa).

Nie należy przywiązywać wagi do wszystkich obcych sądów i opinij, lecz poznać je warto w każdym razie.

Józefa Klemensiewiczowa.

Notatki literackie i artystyczne

— *Biblioteka spółczesna.* Pod tym wspólnym tytułem zaczął wychodzić szereg popularnych książeczek, dających czytelnikom niepowiązane z sobą ściśle, ale niezbędne wiadomości. Pierwsza, według dr. Z. Kowalewskiej, opisuje „Uniwersytet chłopski w Szwecyi“ (str. 47, cena 15 kop.), początki, rozwój i szerokie wpływy tej instytucyi na lud. A jak ona się przyjęła na gruncie skandynawskim, widać z cyfr: w r. 1894 było w Szwecyi takich uniwersytetów 30, w Norwegii 15. Pomimo że nauka w nich jest płatna (około 25 rb. rocznie), mają licznych słuchaczów, a pomimo dość wysokiego poziomu wykładów, osiągają znakomite wyniki. W drugiej książeczce W. Krakowski krótko i jasno zaznajamia czytelników z historyą i obecnym stanem „Nowej Zelandyi“ (str. 57, cena 20 kop.), tego dziwnego a bardzo ciekawego kraju, który jeszcze przed stu laty był siedzibą dzikich Maorów, a obecnie posiada wysoką kulturę i urządzenia społeczne, prześcigające w wielu kierunkach Europę.

SPRAWY EKONOMICZNE

Przesilenie bawełniane.

Ciekawą ilustracyą gry giełdowej jest walka mocarzy bawełnianych, jaka się odbyła w ciągu ostatniego roku. Ponieważ przebieg tej utarczki jest zarówno osobliwy, jak pouczający, przeto warto nań rzucić okiem.

W ciągu lata i jesieni roku 1902 zniżkowcy zaczęli rozpowszechniać na rynkach bawełnianych wiadomość o nadzwyczajnym urodzaju bawełny i o niezwykłem zaofiarowaniu tego produktu przędzalniom. Dobrze o stanie rzeczy powiadomieni handlarze pragnęli zapobiedz skutkom tej operacyi przez nabywanie wszystkiego towaru, jaki zniżkowcy w jesieni zdołali zaofiarować, lecz wkrótce z braku kapitału musieli w walce uledz. Gdy zwyczajne zaofiarowanie wynosi miesięcznie 700 do 800 tys. bali bawełny, to w pierwszych miesiącach pojawiło się ich na rynku przeszło milion, co wzmocniło oczywiście wiarę w nadzwyczajny urodzaj.

Tymczasem stan faktyczny przedstawia się, jak następuje: plon bawełny wynosił w roku 1900/01: 10,425,000 bali; w roku 1901/2: 10,701,000, a w r. 1902/3: 10,758,000 bali bawełny.

Ponieważ przesadne twierdzenia zniżkowców wyszły wkrótce na jaw, przeto udało się niejakiemu Sully'emu podnieść cenę bawełny z 8 centów (16 kop.) na 10 centów (20 kop.), będących mniej więcej normalną ceną produktu. Spekulant ten jednakże, zarobiwszy na operacyi bardzo ładnie, wycofał się z rynku już w miesiącu maju.

Wtedy-to rozpoczęła się, przeciwna jesiennej dążności zniżkowej, akcya niejakiego Browna, który nietylko przejął wszystkie zapasy Sully'ego po cenie 9 i $^1/_2$ do 10 centów za bal, lecz pochłonął majowe i czerwcowe zaofiarowania zniżkowców, a nawet zagarnął wszystkie istotne zapasy produktu na rynku, a czynił to tak cicho i przezornie, że zniżkowcy nie spostrzegli, co się święci.

Z nastaniem terminu czerwcowego Brown wbrew wszelkim prawidłom gry giełdowej zażądał od wszystkich kontrahentów nie zapłacenia różnic w cenie, lecz samej bawełny. Manewr ten wywołał panikę; czego Brown nie zdołał już dostać w swe ręce, to zniżkowcy ściągali pospiesznie ze wszystkich kątów oczywiście przy ogromnej zwyżce cen. Spodziewano się, że będzie można przekroczyć zdolność kupną Browna, on jednak przygotował się dobrze tak pod względem miejsca w składach, jak zapasów pieniężnych. Przyjmował wszystek towar i w ostatnim tygodniu dostaw terminowych ułożył się z tymi, którzy nie zdołali pokryć swych zobowiązań, na podstawie blizko 14 centów za bal.

Nadzwyczajne powodzenie Browna skłoniło wielu do naśladowania go i czynienia wielkich zakupów w pierwszym tygodniu lipca; wtedy Brown w drugim tygodniu lipca wypuścił ogromne masy zleceń sprzedaży, jak gdyby już zbankrutował. Nawet zniżkowcy byli na tyle nieostrożni, że się dali na to złapać. Pospieszyli na rynek ze sprzedażą, aby uśmierconemu w ich mniemaniu Brownowi odebrać resztę. Ta komedya trwała jednak ledwie trzy dni i skończyła się zupełnem zniszczeniem kupujących po 13 i 14 centów. Brown, który miał jeszcze w swym portfelu ogromne zobowiązania na 11 centów, mógł spokojnie dopuścić do zniżki ceny na 12 centów, ponieważ

pozostawał mu jeszcze zysk jednego centa, a prócz tego miał dwa centy korzyści na swych nierozsądnych naśladowcach, którzy ośm dni przedtem nabywali od niego po 14 centów, a obecnie sprzedawali mu po 12.

W ten sposób 9 lipca oswobodził się od naśladowców, a zawodowi zniżkowcy znowu znaleźli się w jego sieciach. Tego samego dnia spróbowali oni jeszcze przełamać linię nieprzyjacielską i zaofiarowali Brownowi pół miliona bali; lecz to mu wcale nie zrobiło różnicy. Miał w swym portfelu dość miejsca. 10 lipca cena bawełny odzyskała swój wysoki poziom, i nastąpiła ostatnia faza rozpaczliwej walki zniżkowców przeciw Brownowi. Przędzalniom odebrano przeznaczone już do przerobienia zapasy bawełny, w Europie zakupywano na rynkach i w składach fabrycznych tysiące bali i sprowadzano wszystko do Nowego Yorku. Miliony wrzecion zaprzestały pracy, dwieście tysięcy robotników rozpuszczono, ponieważ fabryki nie mogły nabywać surowego materyału przy tak wysokich cenach, a także ponieważ wiele wolało posiadane zapasy surowego materyału sprzedać po wysokich cenach i aż do następnego zbioru świętować.

Wszystkie usiłowania zniżkowców nie doprowadziły do żadnego rezultatu. O zabiciu Browna nie było mowy, przyjmował on bowiem wszystkie oferty, a potajemnie robił sobie ulgę w ten sposób, że fabrykom, zagrożonym brakiem pracy, odstępował materyał surowy na bardzo korzystnych warunkach, zobowiązując je do jego przeróbki. Poza tem jednakże umieszczał w swych składach wszystko, co mu ofiarowano. W lipcu więc Brown odniósł nad przeciwnikami zupełne zwycięztwo. Ta sama historya powtórzyła się w sierpniu. Wrzesień oglądał już pierwsze transporty nowego zbioru. Brown oczywiście nie wdawał się w interesy wrześniowe. Z pozostałych 200,000 bali oddał zaledwie jedną połowę do przeróbki po cenach korzystnych, drugą musi sobie zachować na pamiątkę, gdyż jest nie do użycia. Giełdowcy nowoyorscy są bowiem tego zdania, że nie giełda jest dla bawełny, lecz bawełna dla giełdy. Z tej przyczyny typ, uznany przez giełdę za możliwy, jest lichszy od najgorszego gatunku, nadającego się do przeróbki. Przy prawidłowym przebiegu gry giełdowej przechodzi ta bawełna z ręki do ręki, zupełnie tak, jak marki przy grze w karty. Wskutek długo trwającego przesilenia wszystkie te marki pozostały tym razem w rękach Browna, który prawdopodobnie przemyśliwa już nad tem, jakby tu przy pomocy owych stu tysięcy bali obniżyć w którymkolwiek terminie jesiennym podniesioną przez siebie cenę bawełny.

W przemyśle tkackim całego świata panuje obecnie wrzenie; interesowani nie chcą pozwolić na to, aby los tysięcy fabryk, i setek tysięcy robotników zależał od jednego człowieka. Czynią starania w celu uzyskania międzynarodowego zakazu terminowego handlu bawełną. Autor artykułu, który służy za podstawę do niniejszego opracowania, nie ma zaufania do tych usiłowań, ponieważ od sześciu lat zauważył, że prawne zakazy nie wchodzą w życie, jeżeli się tak panom ministrom podoba. Pomimo to należy energicznie potępić bezczelność artykułów, skierowanych przeciw zakazowi terminowego handlu zbożem a drukowanych w prasie giełdowej. Prasa giełdowa powiada, że niepewność w dostarczaniu surowego materyału wprowadza zamieszanie i jest przedmiotem słusznych skarg. Lecz zakaz terminowego handlu pogorszyłby jeszcze położenie. Sprzedaż terminowa bawełny polega głównie na tem, że plantatorowie plon swój zbywają z góry na dostawę, aby sobie w ten sposób zapewnić potrzebne do opędzenia kosztów zbioru środki materyalne. Gdyby im to odjęto, wielu musiałoby ograniczyć produkcyę, a wskutek tego niedostatek bawełny jeszcze bardziej by się powiększył. Jest to absurd, który trzeba energicznie zwalczać. Kłamstwem jest, że giełdowy handel terminowy ułatwia wytwórcy zbyt, lub sprzyja zaopatrywaniu spożywcy w towar. Kłamstwem jest, że handel terminowy ma istotnie związek z dostarczaniem towaru na określony czas. Chłop lub plantator, pragnący już w lecie sprzedać zboże lub bawełnę z plonu jesiennego, a kupiec, młynarz lub tkacz, który już w lecie zamierza nabyć plon jesienny zboża lub bawełny bądź-to w celach spekulacyjnych, bądź-też na własną potrzebę, wymagają do tego celu przez księgi handlowe wszystkich cywilizowanych państw unormowanego handlu z dostawą, a nie terminowego handlu giełdowego, który jest w zasadzie czemś zgoła odmiennem. Na giełdzie terminowej można „obracać“ milionami ton zboża, milionami balów bawełny, bez puszczenia w ruch nawet jednego centnara rzeczywistego towaru i bez umożliwienia zbytu bodaj jednemu chłopu, bez ułatwienia nabycia towaru jednemu spożywcy. Połączenie handlu terminowego z istotnym ruchem towarów pojawia się wyjątkowo wtedy tylko, kiedy jedna ze stron grających odstąpi od zwyczajnych zasad gry, to znaczy, gdy uważa położenie za przychylne dla siebie w celu pognębienia partyi przeciwnej. Wszak ślepy nawet może spostrzedz różnicę pomiędzy handlem towarowym a terminowym. Handlarz towarów, przewidujący przyszłe zapotrzebowanie, nabywa towar po nizkich cenach, składa go na zapas i w ten sposób zabezpiecza się przeciw możliwej drożyznie. Jeżeli przez swoje zakupy ożywia ruch handlowy, to nawet przynosi korzyść wytwórcy. Jeżeli zaś w danej miejscowości panująca konjunktura sprzyja drożyznie, to kupiec, zciągający towary z innych rynków, czyni zadość istniejącej potrzebie. Czynność jego jest w każdym razie regulująca i gospodarczo korzystna. Zupełnie inaczej ma się rzecz z terminowym handlarzem giełdowym. Jeżeli na polu pojawia się bardzo obfity plon, to on go jeszcze pomnaża w swej kieszeni o miliony centnarów zboża lub bawełny; i to tembardziej, im urodzaje istotnie są lepsze. W ten sposób zaofiarowanie ze strony chłopa spotyka się z pszenicą papierową, stworzoną przez zniżkowca, który ustanawia cenę a nie chłop. Z nadejściem terminu giełdziarz dodaje do tego zapasu nowy towar, aż wreszcie nabywcy nie mogą lub nie chcą pochłaniać więcej. Gdy wskutek takiego zasypania rynku cena regulująca zostanie jeszcze o jakie 5 lub 10 rb. obniżona, zniżkowiec zabiera rezultat różnicy, a ponad potrzebę nagromadzony towar póty obciąża rynek, dopóki spożycie stanu tego nie zmieni.

Taki przebieg mają obroty giełdowe w jesieni i z początkiem zimy. Zachodzi teraz pytanie, czy nie odnosi z tego zysku przynajmniej spożywca? Odpowiedź znajdziemy, biorąc pod rozwagę działalność zwyżkowca, która następuje po działalności zniżkowca. Zwyżkowiec zaczyna wtedy operować, kiedy spostrzega, że cały plon został zużyty nieekonomicznie wskutek poprzedniego niepomiernego obniżenia ceny i że miliony centnarów zboża chętniej wsypano do żłobu, niżeli zawieziono do młyna, nowy zaś plon przedstawia się być może w złym stanie. Wtedy to w tajemnicy przerabia on swój portfel na śpichlerz, przejmuje każde papierowe zaofiarowanie na rynku i dodaje do istotnego zapotrzebowania towaru istniejącego swoje poszukiwanie towaru papierowego. Gdy wreszcie nadejdzie termin płatności, wtedy zwyżkowiec wyrywa niemal z ust spożywcy zboże i zamyka je szczelnie. Towar, znajdujący się na drodze do rynku zbytu, zostaje skupiony i od sprzedaży uchylony. Towar zaś, znajdujący się na rynku, chwytają spekulanci i usuwają. W ten sposób ogładza się daną miejscowość.

Dla spożywcy zarówno jak i dla wytwórcy najkorzystniejsze są stałe i określone ceny; inaczej ma się rzecz ze spekulantem giełdowym, robiącym interesy właśnie na różnicy ceny, którą stara się wszelkimi sposobami wywołać i do wielkich wahań doprowadzić. To też każdy jasno zrozumie, że giełdowy handel terminowy jest faktycznie szkodliwy i powinien być koniecznie usunięty.

W. S.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Dowiadujemy się z *Pet. Wied.*, że ministeryum spraw wewnętrznych zażądało od naczelników gubernij opinii co do zmian i uzupełnień w dotychczasowem ustawodawstwie dla Żydów, w celu usunięcia, wyjaśnienia i udoskonalenia tego wszystkiego, co dawało powód do nieporozumienia, wątpliwości i niewłaściwych tłomaczeń tak w instytucyach niższych, jak w senacie rządzącym.

— *Warsz Dn.* donosi: „Na skutek starań J. E. Głównego Naczelnika kraju i najpoddańszego raportu ministra skarbu, Jego Cesarska Mość Najjaśniejszy Pan d. 1 września (st. st.) Najmiłościwiej raczył nadać ministeryum skarbu prawo umarzania, w razach wyjątkowego położenia, należnych od poszkodowanych wylewami Wisły, w obrębie kraju Nadwiślańskiego, podatków za r. 1903 i 1904, wraz z zaległościami za czas zeszły, mianowicie: podatku gruntowego, podymnego, z nieruchomości miejskich i na utrzymanie sądów gminnych.“

— Wydano rozporządzenie, zabraniające więźniom pracowania wspólnie z robotnikami wolnymi w zakładach przemysłowych.

— Zatwierdzoną została ustawa katolickiego Tow. dobroczynności w Kijowie.

— Warszawskiej izbie miar i wag pozwolono przyjmować kobiety na posady techników do sprawdzania wag oraz do zajęć kancelaryjnych, bez prawa i przywilejów służby państwowej.

— *Carycynskiej Wiestnik* pisze: „Z powodu powtórnego zaprzestania pracy przez robotników kolejowych w Borysoglebsku, dyrekcya zamknęła warsztaty i wezwała robotników do niezwłocznego obrachunku i ustąpienia.“

— *Siew. Zap. Kraj* donosi o tłumnej emigracyi Żydów z miasteczek gub. Mińskiej, przeważnie ludzi młodych, robotników i rzemieślników; wynoszą się oni za granicę lub do innych gubernij Cesarstwa.

— *Kawkaz* zawiadamia: „D. 25 z. m. w mieście Szuszy, podczas przyjmowania majątków, należących do kościołów ormiańskich, pod zarząd skarbu, zebrał się tłum ormian i zaczął krzyczeć i gwizdać, co jednak nie powstrzymało czynności urzędników. Gdy przyjęcie zostało już ukończone i komisya odjechała, wzburzony tłum skierował się ku mieszkaniu gubernatora. Celem powstrzymania go wysłano strażników policyjnych i pół seciny kozaków, których powitano kamieniami i strzałami z rewolwerów i strzelb zarówno z tłumu, jak z dachów i balkonów domów. Kozacy dali ognia i oczyścili ulicę; ranionych przytem było 2 kozaków i jeden strażnik, z tłumu zabity 1; liczby ranionych z powodu nastania ciemności nie stwierdzono.“

— Gazety petersburskie donoszą, że ministeryum skarbu przygotowało projekt rządowych ubezpieczeń na życie. Czynnością ubezpieczeniową zająć się mają kasy oszczędnościowe. Ubezpieczać się miałyby prawo nietylko osoby pojedyńcze, lecz całe grupy przy zapewnieniu im specyalnych przywilejów i udziału w zyskach.

— P. Wojciech Korfanty dostał nareszcie ślub, a my wszyscy odetchniemy nakoniec.

— Komisya klimatyczna w Zakopanem wystosowała protest do trybunału administracyjnego przeciwko uchwale ministeryalnej, nakazującej przywrócenie dr. Janiszewskiego na stanowisko naczelnego lekarza stacyi.

— Za inicyatywą grona osób, interesujących się sprawami Zakopanego, wysłano z Petersburga do hr.

Andrzeja Potockiego podanie, zaopatrzone 43 podpisami, z prośbą o uregulowanie spraw zakopiańskich i udzielenie dymisyi Chramcowi ze stanowiska wójta gminy, po przeprowadzeniu śledztwa.

— Dziennik włoski *Osservatore cattolico*, przypominając sprawę wrzesińską, jej zakończenie przed dwoma laty, opisuje przebieg procesu, wytoczonego członkom komitetu w sprawie ucieczki Piaseckiej i tak kończy swój artykuł: „Dopóki w narodzie taka jest siła odporna i tak wielka wspaniałomyślność charakteru i uczucia, choć smutne są czasy, które przechodzi, o przyszłości swojej zwątpić nie może."

Szkoły i wychowanie. Gazety petersburskie notują pogłoskę o projektowanej w niedalekiej przyszłości reorganizacyi niektórych wydziałów ministeryum oświaty. W łonie ministeryum powstać mają dwa nowe wydziały: jeden z nich zarządzać będzie sprawami wyższych i średnich zakładów naukowych, drugi zaś sprawami szkół niższych.

— Rząd niemiecki pozwolił zapisywać się do grona studentów uniwersytetów bawarskich tym kobietom, które posiadają świadectwa dojrzałości gimnazyów lub szkół realnych niemieckich.

— Polskie stowarzyszenie akademickie w Gracu, „Ognisko," zawiadamia, że udziela wszelkich wiadomości, dotyczących uniwersytetu, techniki, akademii handlowej (Abiturientenkurs) i wogóle stosunków grackich. Z zapytaniami należy się zwracać pod adresem: Włodzimierz Lekki, Grac, Schjeschstadtgase 37, II.

— Z powodu nowych przepisów w sprawie dowolnego uczęszczania w gimnazyach na wykłady języka greckiego, powstał projekt przeniesienia uczniów klas piątych, którzy pragną pobierać naukę greckiego, do gimnazyów odpowiednich. Uczniowie natomiast, kształcący się w gimnazyach, posiadających w programie język grecki, o ile nie życzą sobie korzystać z wykładów, mają być przeniesieni do zakładów, z których nauka tego języka została wyłączona.

Literatura i prasa. *Warsz. Dn.* donosi, że oberpolicmajster warszawski polecił organom policyjnym nie dopuszczać ulicznej sprzedaży bezpłatnych dodatków do pism sportowych, z programami wyścigów konnych. W programach tych, jak wiadomo, znajdują się wskazówki dla graczy, a to przyczynia się do rozwoju hazardu.

Zdrowie publiczne. Wilajety Damaszku i Aleppa uznano za dotknięte epidemią cholery.

— W Bejtanie, w pobliżu Taku (w Chinach) grasuje dżuma i cholera; 2,000 osób zmarło w ciągu dwóch miesięcy.

Sprawy ekonomiczne. Departament dochodów celnych wyjaśnił, jak donoszą gazety petersburskie, komorom i straży pogranicznej, że osoby, które potajemnie przeszły granicę, a następnie powracają na mocy legitymacyi konsulów rosyjskich, podlegać winny tylko karze pieniężnej za przejście granicy bez pasportu, nie wolno ich jednak aresztować i odstawiać etapem do miejsca przynależności.

— W celu rozpowszechnienia między włościanami nasion ulepszonych ministeryum rolnictwa zamierza poczynić zakupy wyborowych gatunków i rozdawać je bezpłatnie, tylko z warunkiem zwrotu z pierwszego zbioru.

— Z powodu napływających wciąż podań o utworzenie w Warszawie nowych stowarzyszeń pożyczkowo-oszczędnościowych i wzajemnego kredytu, ministeryum skarbu zwróciło się o opinię do Banku państwa, który odpowiedział, że według jego zdania, istniejących w Warszawie instytucyj drobnego kredytu jest więcej, niż potrzeba i otwieranie nowych mogłoby tylko zaostrzyć współzawodnictwo i osłabić działalność dawnych.

— Ogłoszono przepisy dla prywatnych stróżów leśnych w Królestwie Polskiem, którzy tworzyć będą odpowiednią policyę, zaopatrzoną w broń palną; zatwierdzać ich będzie naczelnik powiatu.

Poczta. Główny zarząd poczt i telegrafu ogłasza, że niewydane adresatom posyłki zagraniczne przechowywane będą w biurach pocztowych przez 6 miesięcy.

— Wydano przepisy, ułatwiające odbiór z poczty korespondencyi i przekazów pieniężnych, oraz dostarczanie do domów posyłek wartościowych do 200 rb., wyjąwszy zaliczeniowych, w tych miejscowościach, gdzie udogodnienie takie już istniało dla przesyłek wartujących 50—100 rb.; dostawa uskutecznia się na żądanie wysyłającego, który opłaca za tę czynność po 10 kop. od przekazu lub listu; korespondencyę wartościową otrzymywać mogą tą drogą tylko osoby umiejące czytać i pisać. Z udogodnienia powyższego nie korzystają gubernie: Tyfliska z okręgiem Zabajkalskim, Bakińska, Elizewetpolska, Kutajska, Erywańska, Irkucka, Jakucka, oraz okręgi: Karski, Amurski, Nadmorski z wyspą Sachalin i Kwantuński.

— Główny zarząd poczt i telegrafów zawiadomił naczelnika warszawskiego okręgu pocztowo-telegraficznego, że od d. 1 października ustanowiony został przez Rosyę od granicy zachodniej koleją Syberyjską i Wschodnio-Chińską tranzytowy przewóz korespondencyi pocztowej. Wszystkie pakiety poczty tranzytowej powinny być kierowane do moskiewskiego urzędu pocztowego, skąd będą wysyłane dalej do Chin i Japonii.

— Otworzono oddziały pocztowe: w osadzie Lelów, pow. Włoszczowski; w osadzie Koziegłowy, pow. Będziński, w os. Sokoły, pow. Mazowiecki; oddział pocztowy Oksa w pow. Jędrzejewskim zmieniono na pocztowo-telegraficzny.

— *Birż. Wied.* podają szczegóły o rozwoju operacyj pocztowych w Królestwie Polskiem. W r. 1902 było czynnych ogółem 366 urzędów pocztowych, nie licząc w to 12 urzędów pocztowych na stacyach kolejowych, które dokonywają, jak wiadomo — nie wszystkich operacyj pocztowych. Największa ilość urzędów pocztowych przypada na gub. Warszawską (w samej Warszawie jest ich 11). W takiem olbrzymiem mieście jak Łódź, istnieją tylko 3 urzędy pocztowe. Z ogólnej liczby 366 urzędów pocztowych 126 znajduje się w miastach, reszta 240 rozrzucone przeważnie w osadach, a niewielka tylko ilość po wsiach. W Szwajcaryi wypada jeden urząd pocztowy na 877 mieszkańców, w Stanach Zjednoczonych na 887, w Niemczech na 1,629, w Austryi na 4,287 we Francyi na 4,782, w Króstwie Polskiem 1 na 27 tysięcy mieszkańców. To średnia norma, są bowiem gubernie, w których jeden urząd pocztowy przypada na 33 tysiące mieszkańcow. Gorzej ma się jeszcze rzecz w większych miastach, jak w Warszawie, Łodzi i Sosnowcu, gdzie 1 urząd pocztowy obsłużyć musi 50 do 100 tysięcy mieszkańców. List wysłany z Warszawy prędzej dojdzie do Paryża lub Petersbuga, aniżeli do miejscowości, odległej 10 do 20 wiorst. Pochodzi to stąd, że korespondencya przeważona bywa końmi i to tylko 2 do 3 razy na tydzień.

Klęski żywiołowe. We wsi Czechryn, gub. Kijowskiej, spaliło się 50 chat i znaczna liczba zabudowań gospodarskich wraz z ruchomościami; we wsi Niedźwiady, pow. Lubartowskim, zgorzało 80 domów mieszkalnych i 200 budynków gospodarskich wartości 54,000 rb.; we wsi Bezek, pow. Chełskim — 60 domów i 200 innych budynków; tu pożar wzniecił jakiś włóczęga, mszcząc się za odmówienie mu stu rubli, których żądał od jednego z zamożniejszych włościan.

Katastrofy. Na kolei Południowo - Zachodniej, w bliskości Kijowa, rozbił się pociąg roboczy — kilkunastu robotników ciężko pokaleczonych odwieziono do szpitala, zabity majster drogowy.

— Na kolei Syberyjskiej, w pobliżu Zimy, wykoleił się pociąg osobowy— 3 osoby zabite, kilka ranionych.

— W r. 1901 na wszystkich kolejach rosyjskich było 9,890 wypadków nieszczęśliwych, w tej liczbie 1,521 wykolejeń i 1,012 spotkań pociągów, które przyniosły zarządom szkody na 1,605,200 rb. W tych katastrofach poniosło śmierć 1,529 osób i 7,988 poranionych. Najwięcej wypadków zdarzyło się na kolei Zabajkalskiej.

— Pociąg pospieszny kolei Southern, przejeżdżając przez most pod Danville (st. Wirginia Am. Półn.), spadł w przepaść — 9 osób zabitych, mnóstwo śmiertelnie lub ciężko pokaleczonych.

— W Hucie Laury, w kopalni „Vicinus," skutkiem wybuchu gazów zmarło kilku górników, kilkudziesięciu przywrócono do życia.

Zmarli. Konstanty Malewski, b. profesor Instytutu rolniczo-leśnego w Nowej-Aleksandryi, w Warszawie.

— Kazimierz Koszutski, redaktor *Ziemianina*, w Poznaniu.

— Mieczysław Orgelbrand, naczelnik najstarszej firmy drukarskiej w Warszawie, którą przekształcił na Tow. akcyjne, niegdyś wydawca *Kuryera Codziennego* przed przejściem jego na własność Gebethnera i Wolffa.

— Rudolf Falb, astronom i meteorolog, w Berlinie.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu J. de T. Że dr. Chramiec rządzi się jak szara gęś w Zakopiańskiem bagnie, o tem opowiedział całemu interesowanemu światu Witkiewicz, a za nim wielokrotnie wszystkie pisma łącznie z *Prawdą*: pocóż więc mamy jeszcze drukować podanie panów do namiestnictwa o usunięcie dr. Chramca z wójtowstwa? Powiedzieliśmy i powtarzamy, że o tej sprawie w prasie huku zadużo.

Redaktor i Wydawca **A. Dembowski.**

Дозволено Цензурою, Варшава 25 Сентября 1903 г.

Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.